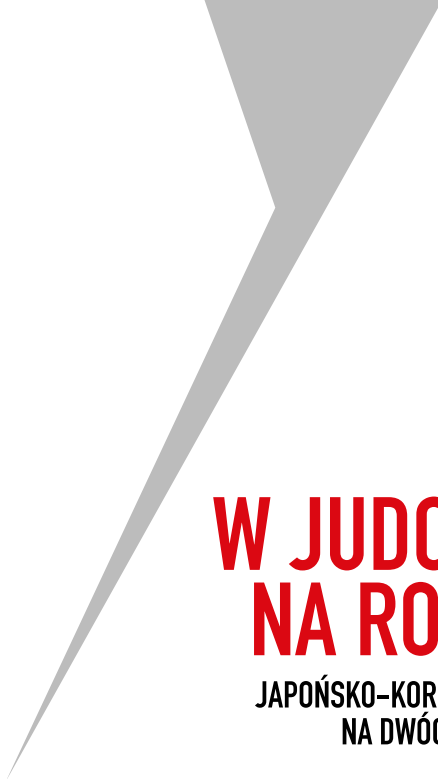
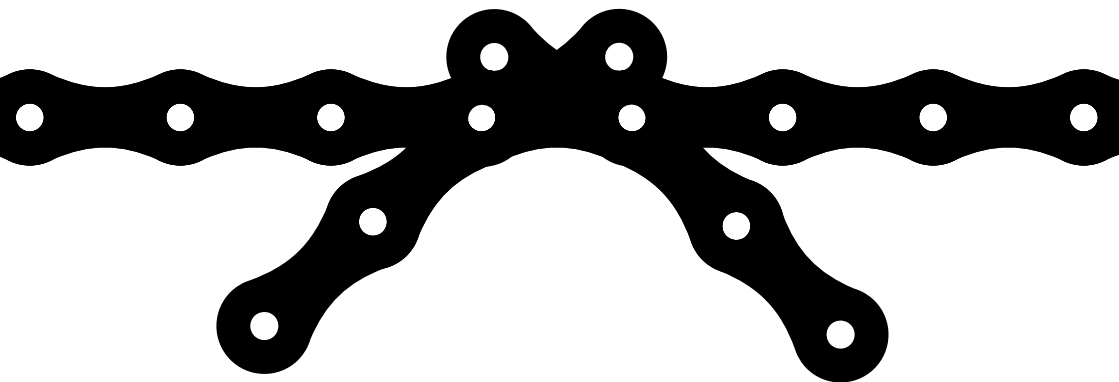




W JUDODZE NA ROWERZE

JAPOŃSKO-KOREAŃSKA PRZYGODA
NA DWÓCH KÓŁKACH



AR
TUR
GO
RZE
LAK

TRASA MOJEJ WYPRAWY



ROWER



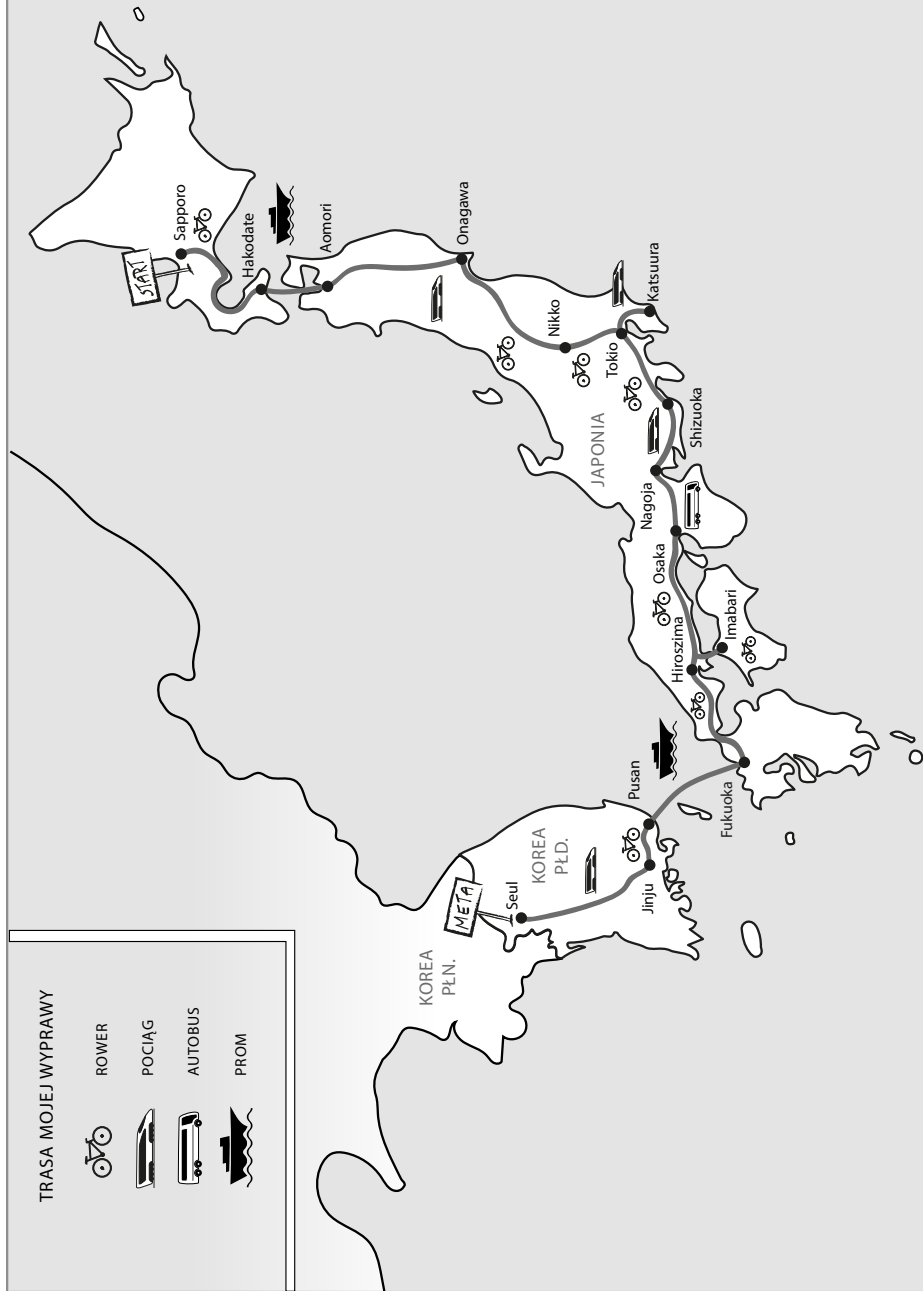
POCIĄG



AUTOBUS



PROM



TRENINGI PODCZAS
MOJEJ WYPRAWY



MIĘSCA, W KTÓRYCH
ĆWICZYŁEM JUDO



W JUDODZE NA ROWERZE

JAPONSKO-KOREAŃSKA PRZYGODA
NA DWÓCH KÓŁKACH

Projekt okładki: DoDzieci.pl

Projekt układu graficznego: Mariusz Bieniek

Wstępne opracowanie tekstu: Judyta Skowrońska

Redakcja, korekta i przygotowanie do druku: PRE-TEKST Paulina Kielan

Skład: Mariusz Bieniek

Rysunki i mapy: Mariusz Bieniek

Fotografie: Judyta Skowrońska i Artur Gorzelak

Producent wykonawczy i wydawca: Artur Gorzelak

Copyright © Artur Gorzelak, 2018

Wydanie I

ISBN 978-83-950111-0-8

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Publikacja została opracowana i wydana ze środków autora.

SPIS TREŚCI

Wstęp

Podziękowania	4
-------------------------	---

Jak w judo wsiąść na rower, czyli przygotowanie wyjazdu

Dlaczego Japonia i Korea? I dlaczego rower?	9
Termin	11
Czas trwania wyprawy	12
Trasa.	12
Planowanie atrakcji na trasie wyprawy	14
Miejsca, gdzie będę trenował judo	14
Przygotowanie fizyczne	15
Promowanie inicjatywy <i>W judo na rowerze</i>	17
Współpraca z partnerami przy organizacji wyjazdu	19
Finanse.	21
Bagaż/wyposażenie	21
Judo (podstawowe zasady)	24
Judo w moim życiu.	27
Podsumowanie przygotowań	28

Do biegu... gotowi? Start!

Kilka chwil do „godziny 0”. Montaż skrzyni pancernej	31
Doba lotu i dwie przesiadki	34
Przywitanie w Japonii treningiem judo	36
Pierwszy dzień na rowerze. Mayday! Mayday! GPS nie działa	38
Kim Dzong Un nie daje spać.	42
Angielski, migowy, a może kalambury?	44
Krab i makrela w Hakodate	47
Do abordażu!	49
Pociąg na pociąg	52
Para – buch! Koła – w ruch!	54
Tsunami – siła żywiołu.	55

Tajemnice japońskiego slowfoodu	58
Japońskie trzy pejzaże – zwiedzanie przypadkiem	61
Od dziś podróżujemy w drużynie!	63
Kiedy wreszcie skończy się ten podjazd?	66
Trzy mądre małpy, które ożyły	70
This is a Nikko train to Nikko!	72
Droga do centrum największej metropolii świata	75
„Mała Polska” na japońskiej prowincji	77
Wracam do Tokio	78
Kryzys	81
Wracam do gry	85
Pożegnanie z Tokio	87
Poszukując Fuji	89
Koyasan – tu w Japonii jest najfajniej!	91
Jedzenie w Osace – dzień dla łakomczuchów	94
Odchudzony bagaż	97
Nara, której nie znajdziesz w słowniku slangu miejskiego	98
Coś słaby ten wiatr...	100
Warsztaty Judo 3.0	102
Potęga trzęsienia ziemi	105
Opuszczam Honsiu... i wracam na Honsiu	108
Z zamku do zamku	110
Kumulacja atrakcji	112
Wiedźma z Onomichi	115
Shimanami Kaido – najpiękniejsza trasa rowerowa na świecie	117
Bez sake nawet kwiat wiśni wygląda zwyczajnie	120
Tysiące papierowych żurawi	124
Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale może dzięki niej trafisz też do Miyajimy?	126
Wybuch na drodze	127
Życie na japońskiej wsi – prywatne <i>dojo</i>	131
Z Honsiu na Kiusiu	135
Nienawidzę portu w Fukuocie	137
Żegnaj, Japonio!	140
Witaj, Koreo!	143
Pierwsze kilometry na rowerze na stałym lądzie	145
Zwiedzanie Pusanu – jednego z największych portów świata	146
Górska wyprawa rowerowa przez środek miasta	147
Droga <i>kimchi</i>	151
Jinju – twierdza nie do zdobycia z tysiącami lampionów	154
Seul – dojeżdżam w znajome rejony	156
Trasa Czterech Rzek – w Korei też można komfortowo jeździć na rowerze!	159
Zwiedzam stolicę Korei	163

W Seulu również trenują judo!	165
Przygotowania do powrotu – ostatni dzień w Korei	168
Ostatnie chwile w Korei. Czy ktoś zabierze mój rower?	171
Powrót do Polski i rzeczywistości	172
Bilans wyjazdu	172

Ankiety

Judocy spotkani na mojej drodze – o swojej sportowej przygodzie	177
Aburaya Koh	180
Adamiec Tomasz	182
Amanai Yuko	184
Gaczyński Radosław	186
Grochowski Zdzisław	188
Hasegawa Masahito	191
Imajima Rokuro	193
Janiszewski Roman	195
Kejza Artur	197
Ki-young Jeon	199
Maeda Koichi	201
Matsubara Takemasa	203
Nagasaki Tetsuma	205
Nastula Paweł	207
Nobukawa Yukako	209
Ono Ayako	211
Pacholak Mateusz	213
Sakai Shigeyoshi	215
Sasaya Toshiaki	217
Stańczak Piotr	219
Wiłkomirski Krzysztof	222
Yamane Tomohiko	226
Yoo Kyungwon	228

WSTĘP

Jest popołudnie 15 października 2017 roku. Właśnie rozpoczynam przelewanie na papier czegoś dla mnie bardzo ważnego. Równo tydzień temu zakończyłem niesamowitą wyprawę. Przejechałem Japonię i Koreę na rowerze, trenując judo w lokalnych salach treningowych na trasie wycieczki.

To zdanie z pozoru brzmi dosyć banalnie, ale kryje się za nim mnóstwo wspomnień, planów, przygotowań, zabawnych historii, poznanych ludzi, potu i nerwów. Wszystkie te elementy chyba w najpełniejszy sposób składają się na to coś, co nazywamy przygodą. Ja taką przeżyłem i chciałem się z Wami nią podzielić.

Po wyprawie zdążyłem już wyleczyć pierwsze kontuzje, odpocząć, załatwić najpilniejsze sprawy, które czekały na mój powrót. Z głową pełną wspomnień, ale także możliwie „na świeżo” tuż po powrocie zaczynam przenoszenie na papier mojej historii.

Książkę podzieliłem na trzy rozdziały.

W pierwszym przedstawiam, z jakiego powodu podjąłem decyzję o wyprawie, jak się przygotowywałem i jak planowałem wyjazd. Mam nadzieję, że ta część będzie stanowić pewną inspirację dla podróżników – nie tylko tych planujących wyprawę do Japonii i Korei. To zestaw uniwersalnych czynności, które należy wykonać przed każdym wyjazdem – tym mniejszym i tym większym.

W rozdziale drugim opisuję samą wyprawę – prawie 40 dni na rowerze w Japonii i Korei z treningami judo w tle. Swoją podróż starałem się na bieżąco relacjonować na specjalnie stworzonym fanpage’u. Oczywiście forma pisanie na Facebooku mocno ogranicza – posty, często przegłądane na telefonach komórkowych, muszą być krótkie, zwięzłe i najlepiej

z fajerwerkami. Książka daje mi tę swobodę, że mogę opisać dłuższe historie i zdarzenia, które wymagają pewnych elementów wprowadzenia, przedstawienia kontekstu czy własnych refleksji. W mojej relacji książkowej jest zatem dużo więcej „smaczków” niż w relacji internetowej. Ten fragment książki z pewnością przypadnie do gustu fascynatom Japonii i Korei, judokom, a także rowerzystom. Zdradziłem też trochę ciekawostek i informacji o odwiedzonych przeze mnie regionach, które zazwyczaj nie leżą na popularnych trasach turystycznych.

Prawdziwą wisienką na torcie (a może, jak niektórzy twierdzą, nawet truskawką) jest ostatni, trzeci rozdział książki. Umieściłem tu odpowiedzi na szereg pytań zadanych poznanym w Japonii i Korei trenerom judo, a także znajomym szkoleniowcom z Polski, którzy wspierali projekt mojego wyjazdu. Pytania były jednakowe i przypominały rodzaj ankiety. Ta prosta z pozoru koncepcja okazała się prawdziwym wyzwaniem. Dzięki temu interesującemu eksperymentowi można zobaczyć, jakie jest podejście do sportu, do treningów czy do roli trenera w krajach azjatyckich o największych osiągnięciach w judo oraz postrzeganie tych aspektów w Polsce. Nikt z „ankietowanych” nie znał odpowiedzi innych trenerów.

Zapraszam zatem na niezapomnianą rowerową podróż po Japonii i Korei. Udanej wyprawy i przyjemnej lektury!

Artur
Jesień 2017

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować za udzielone mi wsparcie:

- Krzyśkowi „Wilkowi” – właścicielowi klubu Judo Legia Warszawa,
- Krzysztofowi – właścicielowi portalu: www.judoinfo.pl,
- Romkowi – klubowemu koledze z maty.

Wasza pomoc pozwoliła mi na rozbudowanie elementów grafiki książki.

Kieruję podziękowania również do:

- Agi i Jarka – wydawców książek dla dzieci o sportach walki (www.dodzieci.pl). Dziękuję za wystrzałową okładkę książki i za Wasze bezcenne porady wydawnicze,
- Tomasza – właściciela strony: www.matyjudo.pl, za wspianą stronę internetową mojego bloga www.wjudodzenarowerze.pl,
- Marka – właściciela sklepu: www.imssport.pl – mojego dostawcy sprzętu sportowego,
- trenerów, którzy zdecydowali się wziąć udział w ankiecie, których wyniki zamieściłem w książce,
- partnerów, którzy wspierali mnie podczas wyjazdu,
- patronów medialnych*: Team 360°, DoDzieci.pl, Globtroter.pl, Gonka.pl., Grapplerinfo.pl, IMSsport.pl, Instytut Polski w Tokio, Japoniablizej.blogspot.com, Judoinfo.pl, Fundacja Judo – Sport Walki z Rakiem, Kręte Ścieżki – Radio Kampus, klub Judo Legia Warszawa, MatyJudo.pl, Polskie Radio Czwórka, Polski Związek Judo, Wysportowani-portal-kolarski.pl,
- wszystkich zaprzyjaźnionych klubów judo promujących wyjazd: Dragon's Den Fight Club, Judo AZS UW, Judo Legia Warszawa, Judo Neko, Judo Tarnowskie Góry, Kejza Team Rybnik, Klub Judo Ikizama, Klub Judo Lemur, Klub Judo Mizu, Klub Judo Panda, Klub Judo Ryś, Nastula Club, SOTO – Dalekowschodnie Centrum Kulturalno-Sportowe,
- koleżanek i kolegów trenujących judo – tych klubowych, jak i tych ze wszystkich *dojo*, które miałem przyjemność odwiedzić na trasie mojej japońsko-koreańskiej podróży.

Bardzo dziękuję ponadto wszystkim, którzy pomogli mi w organizacji mojej wyprawy rowerowej, podczas której trenowałem judo. Kto wie, może książka w przyszłości ukaże się także w Japonii lub Korei?

Do zobaczenia w Japonii, Korei, Polsce albo gdziekolwiek na świecie!

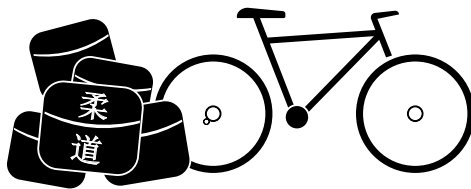
* Wszystkie organizacje w podziękowaniach zbiorczych wymieniono w kolejności alfabetycznej.

謝辞 私が自転車にまたがり、日本縦断をしながら柔道の練習をするという企画に賛同、協力してくださった皆さんに心から感謝いたします。いつか日本語でもこの本を出版できる日がやって来ますように。また日本で、もしくは世界のどこかでお会いしましょう! どうもありがとうございます

감사합니다. 특히 제가 유도 트레이닝을 하며 자전거로 여행 할 때 도움주신 모든 분들께 감사의 말씀을 전하고 싶습니다. 혹시 누가 알겠습니까? 이 책이 나중에 한국사람들에게도 이슈가 될지 한국이나 폴란드 또는 세계의 어느 곳에서든 또 뵈겠습니다.

Bardzo osobiste podziękowania kieruję w stronę moich rodziców i rodziny, która zaraziła mnie podróżniczym i sportowym bakcylem i mocno kibicuje mojej publikacji.

W sposób szczególny dziękuję mojej dziewczynie Judycie. Od Ciebie dostałem największe wsparcie podczas planowania i realizacji wyjazdu. Dziękuję też za Twój tytaniczny wkład w powstanie tej książki i cierpliwość względem autora.



JAK W JUDODZE WSIĄŚ NA ROWER, CZYLI PRZYGOTOWANIE WYJAZDU

DLACZEGO JAPONIA I KOREA? I DLACZEGO ROWER?

To była zima 2013 roku. W ciemny, zimny, deszczowy dzień weekendowy odwiedziłem mojego brata Krzyska. Tak się złożyło, że trafiłem akurat na moment, gdy rezerwował bilet na swój drugi wyjazd do Japonii. W tamtym czasie taka wyprawa to była dla mnie kompletna abstrakcja. Nigdy nawet nie byłem w Azji. Miałem wrażenie, że bilet lotniczy kosztuje krocie. Co więcej, wydawało mi się, że podróżowanie i zwiedzanie Japonii będzie wielką trudnością bez znajomości języka, kultury i zwyczajów.

Krzysiek kupował bilet na swój wiosenny wyjazd, a ja zaglądałem mu przez ramię. To był czas, kiedy linie Air France i KLM zorganizowały promocyjne loty na Daleki Wschód. Za przelot w obie strony z Warszawy trzeba było zapłacić około 1800 zł. Dokonałem szybkiej analizy i połączyłem kilka faktów:

- dobra cena biletu,
- podróż w towarzystwie brata,
- szansa na podziwianie słynnego japońskiego kwitnienia wiśni,
- możliwość trenowania judo z Japończykami!!!,
- odwiedziny w Kodokanie – pierwszej szkole judo.

To była szybka decyzja! Aż zakręciło mi się w głowie. Argumenty za wyjazdem przytłaczały znacząco te przeciw wyjazdowi. Wyciągnąłem kartę kredytową i oznajmiłem bratu, że jedziemy we dwóch.

I tak w 2013 roku po raz pierwszy odwiedziłem Japonię. Znajomi twierdzą (a ja muszę przyznać im trochę racji), że zwariowałem na punkcie tego kraju. Rzeczywiście mocno wkręciłem się w temat. Nieprzerwanie od czterech lat staram się zgłębiać tajemnice Kraju Kwitnącej Wiśni. Całkiem

sporo przeczytałem o Japonii, obejrzałem mnóstwo filmów, w miarę możliwości staram się uczestniczyć we wszystkich wydarzeniach kulturalnych promujących kulturę Japonii w Polsce. Rok w rok jestem wolontariuszem na pikniku Matsuri organizowanym przez ambasadę japońską, którego głównym celem jest popularyzacja Kraju Kwitnącej Wiśni.

Japonię odwiedziłem w 2013, 2014 i 2016 roku. Po zaledwie trzech tygodniowych wizytach w tym kraju stwierdziłem, że takie podróże nigdy nie spełnią moich oczekiwań. Kilkudniowy wyjazd to zbyt mało, żeby pojechać w miejsca nieuczęszczane przez turystów, chwilę odpocząć, poznać ludzi, zjeść lokalne specjalności, poćwiczyć judo. Z tych wyjazdów zawsze wracałem z niedosytem i już w drodze powrotnej planowałem kolejny wyjazd.

Bardzo lubię odkrywać nowe miejsca. Uwielbiam organizować wycieczki – te bliskie i te dalekie. Uczestniczyłem już w najróżniejszych typach wyjazdów – od tych całkowicie zorganizowanych przez biuro podróży, przez typowo turystyczne wizyty w wielkich ośrodkach miejskich, trekking rowerowy, aż do podróży z plecakiem turystycznym. Odwiedzając wielkie aglomeracje w Europie Zachodniej, doszedłem do wniosku, że najlepiej zwiedza mi się miasta wypożyczonym rowerem miejskim. Zwiedzając na rowerze:

- jestem w stanie zobaczyć dużo więcej niż podróżując komunikacją miejską,
- mogę zobaczyć, jak wyglądają miejsca, które nie zawsze są na szlaku rzeszy turystów,
- jestem niezależny – w każdym momencie mogę się zatrzymać, odpocząć, zmienić trasę swojej wycieczki,
- mam zapewnioną dodatkową aktywność fizyczną – produkcja endorfin poprawia nastrój,
- nie ponoszę dodatkowych kosztów – oczywiście trzeba dać paliwo miłośnikom, aby miały co spalać, ale jedzenie to kolejna „aktywność”, którą kulturyjny podczas wyjazdów.

Po trzeciej wizycie w Japonii w mojej głowie zakiełkował pewien pomysł. Gdyby tak połączyć wszystko, co lubię – judo, rower, zwiedzanie

i poznawanie nowych ludzi – w jeden projekt? W ten sposób na około 12 miesięcy przed wyjazdem rozpocząłem realizację projektu *W judodze na rowerze* – przejazdu przez Japonię i Koreę na rowerze połączonego z treningami judo.

Na początku to był całkowity chaos! Taki stan utrzymywał się całkiem długo. Od czego zacząć przygotowania i planowanie? Gdy tylko dzieliłem się ze znajomymi pomysłem, byłem zasypywany pytaniami: „Kto ci da tyle urlopu?”, „Wiesz, ile to będzie kosztować?”, „Przecież ty się nie znasz na rowerach. Jak sobie dasz radę?”, „Nie znasz japońskiego. Jak się chcesz dogadać? Na prowincji nikt nie zna angielskiego”, „Jak chcesz dotrzeć do lokalnych judoków?”, „Czy to bezpieczne?”, „Czy ty masz odpowiednią kondycję?”.

Słuchałem tych pytań, ale ich nie słyszałem. Kiedy już w mojej głowie pojawi się jakaś koncepcja, musi zostać zrealizowana!

Te wszystkie początkowe wątpliwości i wahania to chyba newralgiczny punkt każdego projektu. Przyjęty sposób rozwiązywania zaistniałych problemów i przeciwności losu decyduje o fiasku lub powodzeniu projektu. Ja postanowiłem planować i wyjaśniać kwestie pojedynczo, tak aby po pewnym czasie mieć pełen obraz projektu. Lubię też wykonywać wszystko krok za krokiem, tak aby widać było postęp w realizowanym przedsięwzięciu. Kamieniami milowymi tego procesu było ustalenie terminu i czasu trwania wyprawy, trasy oraz wielu innych zmiennych określających charakter i specyfikę takiej podróży. Do każdego z aspektów wyjazdu starałem się podejść tak, jak podpowiadał mi rozsądek.

TERMIN

Wybór terminu wyjazdu był dosyć prosty. Musiałem mieć dość czasu na zaoszczędzenie pieniędzy, zaplanowanie podróży, wzięcie urlopu, nawiązanie relacji z partnerami wspierającymi wyjazd, przygotowanie fizyczne i wreszcie rozreklamowanie inicjatywy. Kiedy zacząłem planować wyjazd zimą na przełomie 2016 i 2017 roku, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że najbardziej rozsądnym terminem będzie początek jesieni 2017 roku. Początkowo rozważałem też wspinaczkę na górę Fuji – najwyższy szczyt

Japonii. Szlak na górę Fuji jest otwarty dla turystów wyłącznie w lipcu i sierpniu – w pozostałych miesiącach pogoda potrafi płać figle i szlak jest zamknięty. Z tego pomysłu musiałem jednak szybko zrezygnować – nie dysponowałem wystarczającą ilością czasu, choć o tym przekonałem się dopiero wtedy, gdy wyjazd był już w większości zaplanowany.

CZAS TRWANIA WYPRAWY

W korporacji, w której pracuję, udało mi się ze sporym wyprzedzeniem (ośmiomiesięcznym) zarezerwować sześciotygodniowy urlop. Rzecz niezbyt często spotykana w przyrodzie, ale niezwykle potrzebna dla higieny umysłu. Tak więc czas stanowił pierwsze ograniczenie, z którym musiałem się liczyć.

TRASA

Nie należę do osób, które skrupulatnie przygotowują się do wyjazdu lub pakują się zawczasu – zwykle robię to w noc przez wylotem. Nie potrzebuję też wiele czasu na nabranie sił i odpoczynek przed rozpoczęciem wyprawy lub po jej zakończeniu. Postanowiłem więc całe sześć tygodni urlopu spędzić w podróży.

Przeprowadziłem prostą kalkulację: sześć tygodni to 42 dni. Wiedziałem, że muszę odjąć cztery dni na podróż samolotem w obie strony. Założyłem też, że raz na jakiś czas będę musiał zrobić przerwę w podróży rowerowej: na zwiedzanie czy na zwykłą regenerację. To kolejne cztery dni, które musiałem mieć na uwadze w planowaniu wycieczki. Wstępnie założyłem zatem, że będę mógł spędzić na rowerze 34 dni. Wiedziałem, że na rowerze z bagażem mogę pokonywać średnio około 80–90 km dziennie. Biorąc pod uwagę czas, który miałem na wyjazd, oraz średni dystans dzienny, który mogłem przejechać, dało to łączny dystans 3000 km – tyle byłem w stanie pokonać podczas całego wyjazdu.

Koncepcja była prosta: chcę przejechać całą Japonię. Z Sapporo do Fukuoki – miast, które stanowiły początek i koniec mojej japońskiej przygody – jest około 2200 km. Postanowiłem więc, w ramach urozmaicenia, przejechać także Koreę. Zwłaszcza że z Japonii do Korei można dotrzeć promem (co w przypadku podróży rowerowej jest świetnym logistycznie rozwiązaniem). Powrót ze stolicy Korei – Seulu – również wydawał się uzasadniony ze względów organizacyjnych – dużo łatwiej znaleźć lot w rozsądnych cenach z tego miejsca, niż poszukiwać lotu z japońskiej prowincji lub zawracać i podróżować z rowerem transportem publicznym do Osaki czy Tokio, gdzie zlokalizowane są największe porty lotnicze w Kraju Kwitnącej Wiśni.

Planowanie przebiegu trasy ułatwił mi kształt Japonii. Japonię można z grubsza przejechać z północy (Sapporo) na południe (Fukuoka) lub odwrotnie. Ja wiedziałem, że zacznę od północy. Z kilku powodów. Po pierwsze w Sapporo byłem już rok wcześniej i dosyć dobrze odnajdywałem się w tym mieście. Swoją podróż „w nieznane” chciałem rozpocząć od miejsca, które choć odrobinę nie było mi obce. Po drugie – i chyba najważniejsze – do Japonii miałem przyjechać pod koniec sierpnia. Lato w Japonii trwa przynajmniej do końca września. Słońce i temperatury są tam porównywalne do tych, jakie panują w miesiącach wakacyjnych w krajach basenu Morza Śródziemnego – są zbyt wysokie, żeby jeździć przez kilka godzin na rowerze. Na północy (na wyspie Hokkaido) klimat jest bardziej zbliżony do naszego. Postanowiłem więc sukcesywnie przemieszczać się na południe Japonii wraz z odchodzącymi japońskimi upałami i zbliżającymi się oznakami jesieni.

Pierwszy raz w życiu zdecydowałem się na zakup biletów lotniczych przez pośrednika. Stwierdziłem, że łatwiej będzie mi zorganizować transport roweru przez wyspecjalizowaną firmę, zwłaszcza że na trasie do Sapporo musiałem dwukrotnie się przesiadać i zmieniać linię lotniczą. Bilety lotnicze kupiłem mniej więcej cztery miesiące przed wyjazdem. Granice wyprawy zostały więc określone. Wszystkie przejazdy na trasie, promy, autobusy, pociągi, taksówki organizowałem na miejscu, gdy wystąpiła taka potrzeba.

PLANOWANIE ATRAKCJI NA TRASIE WYPRAWY

Podszedłem do tej kwestii z pewnym dystansem i względnie racjonalnie. Skrupulatnie zaplanowałem pierwsze cztery dni wycieczki – zarezerwowałem noclegi, sprawdziłem atrakcje turystyczne na trasie i wybrałem drogi, którymi będę się poruszał. Bardzo sobie chwalę fakt, że dalszą część wyjazdu mogłem kształtować w elastyczny sposób. Liczyłem się z możliwością natrafienia na niekorzystne warunki pogodowe (w tym tajfun), problemami technicznymi z rowerem, zabłądzeniem itd. Z tych powodów nie chciałem na sztywno planować wyjazdu dzień po dniu z dużym wyprzedzeniem.

To był strzał w dziesiątkę. Mój wyjazd obfitował w zwroty akcji i spontanicznie podejmowane decyzje. Czasami zbaczałem z głównych dróg prowadzących do wyznaczonego celu, aby odwiedzić judoków, którzy dowiedzieli się o moim przyjeździe i chcieli się ze mną spotkać. Czasem zwyczajnie mój organizm nie pozwalał mi na przejechanie dłuższych dystansów. W zasadzie planowałem trasę z dnia na dzień. Brałem pod uwagę moją bieżącą kondycję psychofizyczną, to, czy mam zaproszenie od znajomych na wspólne trenowanie lub spotkanie, a także atrakcje, które chciałem odwiedzić po drodze.

MIEJSCA, GDZIE BĘDĘ TRENOWAŁ JUDO

Moja podróż rowerowa po Japonii stanowiła moją czwartą wizytę w Kraju Kwitnącej Wiśni. Podczas wcześniejszych wyjazdów za każdym razem odwiedzałem Kodokan (pierwszą szkołę judo) i trenowałem z Japończykami oraz innymi przyjezdnymi. W 2016 roku startowałem w mistrzostwach Japonii w judo w kategorii masters (to rywalizacja pomiędzy amatorami, którzy mają co najmniej 30 lat). Podczas zawodów poznałem kilku japońskich judoków, z którymi pozostaję stale w kontakcie. To właśnie ci znajomi judocy pomogli mi znaleźć miejsca, w których mogłem trenować. Wspomniałem im o swoim projekcie judo-rowerowym. Ich odpowiedź, ale i zaangażowanie w mój wyjazd

były na tyle entuzjastyczne, że stały się przełomowe dla całej wyprawy. Po wymianie kilku wiadomości wiedziałem, że muszę zrealizować swój plan. W przeciwnym wypadku ominęłoby mnie coś naprawdę wyjątkowego. Poprosili, abym opisał założenia swojego projektu (jakie miasta odwiedzę i w jakim terminie), a następnie przedstawili go na forum organizacji Judo 3.0. To grupa zrzeszająca judoków z całej Japonii, którzy w ramach wolontariatu dążą do popularyzacji judo. Jednym z filarów działalności jest promowanie wymiany judoków – polega to na zapraszaniu obcokrajowców do trenowania judo w Japonii i odwrotnie. Odzew był niezwykle pozytywny, a odpowiedź przerosła moje najśmielsze oczekiwania. Otrzymałem wiadomości, zaproszenia na wspólne treningi z judokami z całej Japonii! Opowieści o braku gościnności, zamknięciu Japończyków na obcych mogłem tym samym spokojnie uznać za stereotyp. Stare japońskie przysłowie: „Gdy zobaczysz cudzoziemca, traktuj go jak złodzieja” również można włożyć między bajki. Na Messengerze jeden z liderów grupy Judo 3.0 utworzył „grupę wsparcia” o nazwie Artur-San. W trakcie wyjazdu codziennie raportowałem, gdzie jestem, jaką trasę przejechałem i dokąd prawdopodobnie dotrę w następnych dniach. Japończycy odwzajemniali się, zapraszając mnie do konkretnych miejsc, pytając o mój stan zdrowia, ostrzegając przed zbliżającym się tajfunem itd. Czasami wydawali się nawet nadopiekuńczy i często dostawałem od nich troskliwe wiadomości w rodzaju: *Artur, dziś będzie gorąco – pij dużo wody!* albo: *Wczoraj przejechałeś 120 km po górach – myślimy, że jesteś bardzo zmęczony – odpocznij.*

Sam fakt zainteresowania z ich strony był niezwykle miły. Cały czas czułem płynące od nich wsparcie. Większą część wyjazdu spędziłem sam, ale dzięki tej grupie wiedziałem, że jeśli będę miał poważny problem, mogę liczyć na ich pomoc.

PRZYGOTOWANIE FIZYCZNE

Lubię sport pod każdą postacią. Zdecydowanie bardziej przemawia do mnie uprawianie niż oglądanie sportu – to drugie szybko mnie nudzi. Judo

zaczęłem trenować w wieku dziewięciu lat w klubie Judo Ryś na warszawskim Ursynowie. To były czasy, gdy za treningi płacono jeszcze miliony (zaczęłem trenować przed denominacją*). Po czteroletniej przerwie w trenowaniu judo w 2009 roku powróciłem do treningów w klubie Judo Legia Warszawa. Staram się pojawiać w *dojo* średnio dwa razy w tygodniu.

Poza judo sporo biegam. Zdobyłem Koronę Maratonów Polskich**. Dotychczas przebiegłem w sumie 17 maratonów i 21 półmaratonów. Lubię też jeździć na rowerze i pływać. Dni, w których nie mogę poćwiczyć, są dla mnie zawsze jakieś wybrakowane. W zasadzie mogę powiedzieć, że chyba całe życie jestem „w treningu” – oczywiście na poziomie amatorskim.

Gdy podjąłem decyzję o wyjeździe, nie musiałem zatem przeprowadzać w swoim stylu życia wielkiej rewolucji pod kątem sportowym. Wiedziałem jednak, że pokonanie dystansu prawie 3000 km na rowerze, czyli mniej więcej dystansu dzielącego Warszawę i Madryt, wymaga specjalnego przygotowania rowerowego. Powtórzę tutaj za starym japońskim przysłowiem: „Nie zbuduje się domu w trzy dni”.

Przygotowania postanowiłem rozłożyć w czasie. Przede wszystkim zdecydowałem się zintensyfikować treningi rowerowe. Moje postanowienie było dosyć mocne i wdrożyłem je bez odstępstw – trzy miesiące przed wyjazdem sprzedałem swój wysłużony samochód i zdecydowałem, że do czasu wyjazdu nie będę kupował biletów autobusowych. Przez ten czas, niezależnie od pogody, codziennie przemieszczałem się rowerem. Dodatkowo w weekendy organizowałem dłuższe wyprawy rowerowe. Schemat takich wypraw był prosty: przygotowywałem balast – zazwyczaj było to sześć butelek wody o pojemności 1,5 l – wrzucałem balast do sakw i go! Czasem wyjeżdżałem też pociągami z rowerem poza granice Warszawy, żeby moja motywacja do powrotu była znacznie większa. Nie miałem wyjścia – aby zameldować się w domu, musiałem przejechać ponad 100 km. To mój sprawdzony patent z treningów biegowych zmuszający do

* Informacja dla młodszych czytelników: w 1995 r. w Polsce wymieniono banknoty – obcięto cztery zera.

** W ciągu dwóch lat ukończyłem pięć maratonów: w Warszawie, Poznaniu, Dębnie, Krakowie i Wrocławiu.

pokonania konkretnego dystansu, mimo że po jakimś fragmencie trasy nie ma się już siły ani chęci.

W obszarze treningów judo nie wprowadziłem rygorystycznych zmian. Uznałem, że moje dwa, trzy treningi w tygodniu były wystarczające, aby sprostać treningom z Japończykami. Już wkrótce miało się okazać, jak bardzo się myliłem.

PROMOWANIE INICJATYWY W JUDODZE NA ROWERZE

Na początku nie miałem zamiaru w sposób szczególny informować o wyprawie ani prowadzić z niej relacji. Znajomi przekonywali mnie jednak, że to inicjatywa, obok której nie można przejść obojętnie, i nie powinna być przemilczana lub raportowana tylko we fragmentach. Po pewnym czasie przyznałem im rację i stwierdziłem, że założę fanpage. Z jednej strony to kolejne doświadczenie, w którym chciałem się sprawdzić (sam śledzę mnóstwo fanpage'ów, teraz miałem okazję, żeby redagować własny), z drugiej strony oznaczało to setki godzin poświęconych na redagowanie i promocję strony. Z perspektywy czasu nie mam jednak wątpliwości, że była to słuszna decyzja. Przed założeniem strony poprosiłem znajomych o zrobienie burzy mózgów w temacie brzmienia nazwy fanpage'a. Zebrałem prawie 100 propozycji (ten element projektu poszedł niezwykle szybko). Niektóre były całkiem chwytliwe i łatwe do zapamiętania: *Ar-tour* (od mojego imienia) czy *4,5 wyspy – Japonia i Korea na rowerze* (nawiązująca do trasy mojej wyprawy). Inne były nieco zabawne i do rymu: *Bieganie, skakanie, Japonii zwiedzanie czy Rowerem szusuję, na macie trenuję*.

Wygrała koncepcja mojego kolegi z liceum: *W judodze na rowerze*. Nazwa jest względnie krótka i łączy dwa sporty, które trenowałem na zmianę podczas wyjazdu. Nazwa miała także zachęcić fascynatów obu tych sportów do śledzenia fanpage'a. Fanpage stanowił koło zamachowe promocji mojej wyprawy. To dzięki stronie znalazłem kilka firm skorych do nawiązania ze mną współpracy na czas wyjazdu. Poprzez fanpage zgłosiły się do mnie także media zainteresowane wydarzeniem i wzmocniły mój przekaz artykułem czy wywiadem. Początkowo promocję oparłem na znajomych, którzy

redagują teksty o tematyce sportowej lub pracują w redakcjach zajmujących się sportem. Napisałem kilka artykułów, udzieliłem kilku wywiadów on-line. Bardzo się ucieszyłem, kiedy pierwszy raz zaproszono mnie do radia. To było Radio Kampus*. Stres przed wypowiedzią na żywo do słuchaczy był ogromny. W dzień wejścia na antenę akurat miałem urlop. Przed wywiadem postanowiłem przekartkować przewodnik po Japonii, żeby nie pałać jakiejś głupoty. Przyjechałem o godzinę za wcześnie, więc przez ten czas starałem się zrelaksować, siedząc na ławce na Mariensztacie tuż obok siedziby radia. Pierwsze wejście to był wielki stres – zaschło mi w gardle, słyszałem tylko swój głos i własne myśli podpowiadające, co mówić dalej. Po wywiadzie stres odpuścił i pozostała wielka satysfakcja, że się odważyłem i że mam na koncie nowe doświadczenie. Później byłem zapraszany jeszcze do kilku stacji radiowych: do programów sportowych, podróżniczych i zajawkowych. Przyznam, że teraz wypowiedź dla radia sprawia mi nawet swego rodzaju przyjemność – czego bym nie powiedział o moim pierwszym wejściu w Kampusie.

Najbardziej pozytywnie zaskoczyła mnie pomoc znajomych w promowaniu fanpage'a. Zdecydowałem, że nie ma mowy o kupowaniu lajków. Wyjaśnienie dla nieco mniej zorientowanych w temacie – na Facebooku wszyscy biją się o lajki. Każdy administrator fanpage'a chce, aby jego strona zyskała możliwie wielu obserwatorów. Popularność swojej strony można budować „organicznie” – promując ją pośród swoich znajomych i prosząc, by znajomi promowali ją dalej, lub „korporacyjnie” – właśnie kupując lajki. Właściciele fanpage'a płacący administratorom Facebooka mogą reklamować fanpage w grupach potencjalnych odbiorców.

Ja zdecydowałem się na zbudowanie wszystkiego w oparciu o kontakty ze znajomymi. Na początku czerwca 2017 roku na profilu osobistym Facebooka ogłosiłem uruchomienie fanpage'a wyjazdu. Poprosiłem też bliższych i dalszych znajomych o udostępnienie informacji o fanpage'u, wysyłając im prywatne wiadomości. Napisałem także do zaprzyjaźnionych klubów judo, BJJ czy aikido oraz portali zajmujących się tematyką Japonii.

Takiego odzewu, jaki otrzymałem, w żadnym wypadku się nie spodziewałem. Udostępnień posta informującego o starcie fanpage'a było więcej,

* Akademickie radio Uniwersytetu Warszawskiego.

niż mogłem zliczyć. Znajomi sami zwracali się do mnie z pomysłami, gdzie jeszcze mogę się udać, do kogo uderzyć, żeby promocja miała szerszy zasięg. Za to jestem szczególnie wdzięczny. To był naprawdę spory zastrzyk energii i motywacji do dalszego działania. Wtedy zrozumiałem, że poza osobistą radością i chęcią zrealizowania własnego celu i marzenia mogę również rozpropagować pewne informacje i zaoferować coś ciekawego obserwującym stronę.

WSPÓŁPRACA Z PARTNERAMI PRZY ORGANIZACJI WYJAZDU

Skoro już zdecydowałem, że informacja o wyjeździe będzie przekazywana w jak najszerszym zakresie, zacząłem zwracać się do firm, które mogłyby mi pomóc promować wydarzenie, a także je wesprzeć poprzez przekazanie wyposażenia lub upust na produkty, których będę potrzebował podczas wyprawy. Ten aspekt przygotowań był dla mnie wycieńczający – chyba wolę już podjeżdżać bez przerwy przez cztery godziny na rowerze pod górę z wypełnionymi sakwami (jak na trasie z Fukushimy do Aizuwakamatsu, o czym będzie mowa nieco dalej) niż kontynuować tego typu działania.

Wyjazd organizowałem jako osoba prywatna, która dotychczas nie realizowała podobnych przedsięwzięć (a więc anonimowa). Zrozumiałe jest zatem, że moje pytania o możliwość współpracy były traktowane ze sporą rezerwą. Jednak ostatecznie setki wysłanych przeze mnie e-maili, dziesiątki rozmów i spotkań zaowocowały nawiązaniem współpracy z kilkoma firmami na bardzo różnych zasadach.

Rower, sakwy, zegarek sportowy, odzież sportowa, judoga, kamera, obrandowanie roweru i sakw oraz liofilizowana żywność to produkty i akcesoria, które udało mi się uzyskać od polskich partnerów mojej wyprawy. Przed wyjazdem przekonałem do współpracy także jedną firmę z Japonii. Ta współpraca niejednokrotnie ratowała mnie podczas różnych niespodzianek na trasie. Otrzymałem popularny w Japonii przenośny router internetowy, dzięki czemu w każdym miejscu kraju byłem on-line. To było wielkie udogodnienie.

Od żadnej z firm nie otrzymałem wsparcia finansowego. O takie zresztą nawet nie wnioskowałem. Naprawdę cieszyłem się jak dziecko, gdy chciano wesprzeć moją inicjatywę w jakikolwiek sposób. Tu nie chodziło o środki materialne – przekazane rzeczy nie miały zasadniczo znacznej wartości. Byłem szczęśliwy, że ktoś zauważył pewien potencjał tego pomysłu lub docenił trud, który wkładałem w jego realizację.

Mam różne doświadczenia ze współpracy z firmami. To stanowiło dla mnie bardzo cenną lekcję na przyszłość. W swoich działaniach podczas przygotowań, a także w trakcie wyjazdu i po jego zakończeniu kontaktowałem się z dziesiątkami firm. Na własne potrzeby stworzyłem trochę żartobliwe kategorie przedsiębiorstw lub osób, z którymi się kontaktowałem. Szufladkowałem je do następujących grup:

1. „Partacze” – gaszą twój entuzjazm, niby trochę się angażują, ale traktują cię jak dziecko. Działają nieterminowo, „dowożą” częściowo. „W beznadziejnym stylu” to chyba ich dewiza. Ciężko mi stwierdzić, jak tacy ludzie/firmy utrzymują się na powierzchni. Zawsze miałem wrażenie, że tzw. niewidzialna ręka rynku wymiata takie podmioty prędzej czy później. W niektórych zdarzeniach, w których uczestniczyłem, ta ręka ewidentnie działała nazbyt leniwie. Znacznie łatwiej znaleźć takich w dużych firmach. Prowadząc własny biznes, nie możesz być „partaczem” – rynek szybko zweryfikuje twoje niedostosowanie i twoja firma upadnie.
2. „Bursztynowa komnata” – po wymianie kilku wiadomości/informacji widać zainteresowanie z ich strony. Niespodziewanie temat się urywa – brak odpowiedzi na ponawiane zapytania. Znikają, jak słynna bursztynowa komnata ukryta w królewieckim zamku – próżno ich szukać. Zjadają twój czas i nic z tego nie wychodzi.
3. „Profesjoniści” – odpowiadają szybko: tak lub nie. Uzyskujesz konkretne odpowiedzi przekładające się na konkretne działania. Nie ma czasu na zbędne wymiany uzgodnień.

Już po pierwszych dwóch, trzech zdaniach wypowiedzi potrafię zaprognować, do której szuflady mogę zakwalifikować firmę. Oczywiście nie jestem nieomylny – szuflady zawsze można zmienić. Ja na swojej drodze

przeważnie spotykałem firmy z kategorii profesjonalistów. Na firmy z pozostałych kategorii nie będę w przyszłości tracił czasu.

FINANSE

Istotnym logistycznym wyzwaniem była organizacja wyjazdu pod kątem swobodnego dostępu do gotówki. Nie chodzi mi jednak o to, że po prostu musiałem odłożyć odpowiednią ilość pieniędzy, tak aby starczyło mi na pokrycie kosztów wyjazdu. To oczywiste – przed wyjazdem skrupulatnie odkładałem tyle, ile byłem w stanie. Chodzi raczej o to, że Japończycy płacą w zasadzie wyłącznie gotówką. Płatność kartą to absolutna rzadkość. Co więcej, podczas moich pierwszych pobytów w Japonii przekonałem się, że nieliczne banki akceptują karty emitowane przez banki europejskie. Oczywiście nie chciałem dopuścić do sytuacji, w której znalazłbym się 12 000 km od domu bez środków do życia. Przewożenie gotówki potrzebnej na prawie 40 dni wyjazdu na rowerze w zmiennych warunkach atmosferycznych i w towarzystwie dużej ilości potu też nie było najbardziej fortunnym rozwiązaniem. Postawiłem (jak prawdziwy finansista) na dywersyfikację ryzyka. Przed wyjazdem wyrobiłem sobie karty debetowe dwóch największych organizacji płatniczych na świecie. Jedna z kart była w dolarach, co pozwalało uniknąć dodatkowego bandyckiego przewalutowania przy wypłatach gotówki z bankomatów. Ponadto zabrałem ze sobą wymienione jeny o wartości około 2000 zł. W sytuacjach absolutnie kryzysowych (typu: uderzenie meteorytu lub inwazja szarańczy) mogłem także liczyć na ewentualne przesłanie pieniędzy za pośrednictwem Western Union. Ten aspekt podróży nie spędzał mi zatem snu z powiek.

BAGAŻ/WYPOSAŻENIE

Nie znam się na rowerach. Lubię jeździć na rowerze, ale nie czytam z zaciekawieniem informacji na temat przewagi hamulców szczękowych nad tarczowymi. Kiedyś nasz były prezydent (ten, który przywoływał szefa

Biura Bezpieczeństwa Narodowego, nazywając go szogunem w japońskim parlamencie) powiedział, że polski lotnik jest taki, że poleci na drzwiach od stodoły. Ja chyba jestem trochę jak ten polski lotnik, tyle że na rowerze. Pojadę na każdym. Nie doбираłem też sprzętu rowerowego tak, by był możliwie najlżejszy (wiem, że są zajawkowicze, którzy starają się zmniejszyć wagę roweru i wybierają pięć razy droższą dętkę rowerową, bo waży 5 g mniej niż standardowa). Zresztą w jednej z sakw wiozłem judogę ważącą prawie 3 kg. Maksymalne zbijanie wagi roweru uznałem za bezcelowe, bezproduktywne i nieuzasadnione ekonomicznie.

Wybrałem rower trekkingowy. Całe życie jeżdżę na tego typu rowerze. Nie chciałem wprowadzać wielkich rewolucji. Wystarczającą zmianę stanowiło dla mnie zamontowanie na dwa tygodnie przed wyjazdem pedałów z systemem SPD (czyli wpinanymi butami). To było troszkę niebezpieczne – nigdy wcześniej nie próbowałem jazdy z tym systemem. Kupiłem pedały rowerowe, które można określić mianem uniwersalnych: z możliwością wpięcia SPD, ale również z możliwością korzystania z normalnego buta. Zależało mi na obydwu opcjach. W trasie i w górach dużo bardziej sprawdzi się system SPD. Z kolei w mieście, przy ciągłych przystankach, zmianach świateł, dużo bardziej praktyczne jest zwykłe obuwie – bez konieczności ciągłego jego wpinania i wypinania. Miałem ten komfort, że mogłem dobrać obuwie do trasy planowanej na konkretny dzień. Przed samym wyjazdem kilka razy przekonałem się na własnej skórze, z czym wiąże się zapomnienie o tym, że jedzie się z SPD – upadki nauczyły mnie, jak postępować z tymi pedałami.

Wracając do roweru trekkingowego, to taki rower miejski z nieco węższymi oponami i większymi kołami. Jeździ się raczej w wyprostowanej pozycji. Jest to też idealny rower do przewożenia sakw. Zdecydowałem, że zabiorę ze sobą trzy sakwy. Wszystkie na tylny bagażnik. Pojemność sakw wynosiła około 80 l. Na pierwszy rzut oka to całkiem sporo, jednak aż 25% pojemności sakw zajmowała moja judoga. Wybrałem białą judogę o gramaturze 650 g/m² – wyjątkowo ciężką, ale idealną do treningów. W bagażu miałem także podstawowy zestaw naprawczy – dętki, smary, pompkę itd.

W zasadzie nie wziąłem żadnych ciepłych ubrań – były absolutnie niepotrzebne. Temperatura podczas wyjazdu nie spadała poniżej 20°C.

Spakowałem za to kurtkę przeciwdeszczową – wiedziałem, że będzie przydatna. Bieliznę ograniczyłem do sześciu kompletów. Z artykułów higienicznych zabrałem jedynie szampon, szczoteczkę do zębów i pastę. Miałem ze sobą trzy zestawy strojów rowerowych, siedem T-shirtów bawełnianych, a także okulary i kask rowerowy.

Przed swoim wyjazdem byłem wielokrotnie pytany w pracy, jak spakuję się do tak niewielkich sakw. Najfajniejsze pytanie, jakie mi zadano, dotyczyło tego, w jaki sposób zmieszczę w tych sakwach suszarkę do włosów. Możecie sobie wyobrazić moją reakcję na to pytanie, biorąc pod uwagę niezwykle rozbudowany zestaw kosmetyków, które planowałem wziąć.

Miałem wrażenie, że zabieram niewystarczającą ilość rzeczy. Czasem ludzie wyjeżdżający na weekendy biorą ze sobą kilkukrotnie większy bagaż. W trasie (zwłaszcza przy kilkugodzinnych podjazdach pod górę) moje myślenie jednak diametralnie się zmieniało. Zastanawiałem się, w jakim celu taszczę ze sobą tyle ubrań, z których w zasadzie w ogóle nie korzystam. To była dobra lekcja przed kolejnymi wyjazdami – bagaż (zwłaszcza ten, który cały czas podróżuje z tobą) należy ograniczyć do absolutnego minimum.

Bardzo istotnym elementem zabieranego wyposażenia było *rinko* – pokrowiec na rower. W Japonii bez spakowania roweru w taki pokrowiec (po wcześniejszym zdjęciu przedniego koła) nie da się przewieźć roweru transportem publicznym. Kilkukrotnie korzystałem z tej torby. Finalnie – podczas podróży powrotnej do Warszawy – uratowała mi nawet życie.

Istotną część mojego bagażu stanowiła elektronika. Kluczowy był telefon – pozwolił mi uwiecznić na zdjęciach fragmenty mojej trasy i oczywiście komunikować się ze światem. Za jego pomocą publikowałem dzień w dzień postępy mojej wycieczki oraz kontaktowałem się ze znajomymi i rodziną. Służył mi także za narzędzie do nawigacji, gdyż jedna z moich najdroższych inwestycji przedwyjazdowych – GPS rowerowy, który miał mi zapewnić komfortową jazdę – zawiodła. W Japonii nie funkcjonowały wgrane w Polsce mapy. Używałem więc GPS-a wyłącznie jako lokalizatora. Trasę wyznaczałem i kontrolowałem na komórce.

Gigantycznym ułatwieniem podczas podróży po Japonii był dla mnie stały dostęp do Internetu, co umożliwiał mi otrzymany mobilny router. Kilka razy uratowało mi to skórę. W Korei niestety nie miałem tego komfortu.

Musiałem wspierać się mapami off-line, a jeżdżenie z komórką w ręce było sporym utrudnieniem. Czas i prędkość odmierzał mi zegarek sportowy. Do sakw załadowałem ponadto niezbędne adaptery do gniazdek, kabelki USB do ładowania wszystkich sprzętów oraz jeden z najbardziej pojemnych dostępnych na rynku powerbanków, a także selfiesticka, aby uwieczniać siebie w odwiedzanych miejscach.

W bagażu miałem też apteczkę oraz liofilizowaną żywność (ziemniaki, buraki i kurczaka). Zabrałem również magnesy-pamiątki z Polski (przedstawiające moje ulubione Łazienki Królewskie), które wręczałem życzliwym ludziom spotkanym na trasie wyprawy.

JUDO (PODSTAWOWE ZASADY)

Wiem, że biegaczy irytują pytania, na jakim dystansie przebiegli maraton*. Sam przeżywałem różne etapy odbioru tego pytania i reakcji na nie. Najpierw była frustracja i chęć niesienia kaganka oświaty. Potem zwątpienie i beznamietne przekazywanie tych prostych informacji. Finalnie obojętność i obojętne odpowiedzi: „Tak... to był (zgrzyt zębami) maraton na 10 km”.

Pamiętajmy, że bieganie jest w Polsce superpopularne. Chyba każdy ma znajomego, który regularnie biega i startuje w zorganizowanych imprezach sportowych. Poziom wiedzy w tym obszarze jest zatem względnie powszechny, a mimo to od czasu do czasu trzeba się zderzyć z podobnymi pytaniami. Łatwo się zatem domyślić, że im mniej popularny sport, tym bardziej abstrakcyjne pytania. Judo należy do najbardziej popularnych sztuk walki w Polsce, niemniej wielokrotnie spotykałem się z interesującymi spostrzeżeniami dotyczącymi tego sportu. Pytania, które mi zapadły w pamięć, też były z kategorii ciekawych: „Pokażesz jakiś cios judo?”**

* Maraton to bieg na dystansie 42,195 km; inne biegi, np. na 5, 10 km, to po prostu biegi.

** W judo nie ma ciosów. To tak, jakby poprosić koszykarza, żeby rzucił jakieś punkty z woleja albo życzyć tenisście nokautu przeciwnika.

albo: „Wam to nie jest niewygodnie w tych białych gaciach?”* i *crème de la crème*: „Rozbijasz głową cegły?”

Wiadomo, że nie każdy musi znać szczegółowo zasady judo – takie pytania raczej wywołują u mnie jedynie uśmiech. Wiadomo – świata nie zmienię, ale może chociaż kilka osób dowie się czegoś ciekawego i zainspiruje je to do rozpoczęcia treningów, wysłania pociechy na zajęcia judo albo do powrotu na salę treningową. Z tego bardzo bym się cieszył. Postanowiłem więc przemycać na fanpage’u nieco informacji o tej szlachetnej dyscyplinie. Zgłosiły się do mnie portale branżowe, które chciały poznać założenia mojej wycieczki – nigdy bym nie przypuścił, że publikacje o moim wyjeździe pojawią się na stronach, na których zazwyczaj czytamy o medalach na mistrzostwach świata, Europy, pucharach świata czy zawodach w Polsce.

Zdaję sobie sprawę, że książkę wezmą do rąk nie tylko judocy. To może najlepszy czas i miejsce, żeby przybliżyć kilka podstawowych zasad tej dyscypliny. Postaram się to wytłumaczyć bardzo ogólnie. Trochę tak, jakbym powiedział o piłce nożnej: piłka jest okrągła, bramki są dwie! Zasada prosta, ale oddaje istotę gry.

Słowo *judo* składa się z dwóch japońskich słów tłumaczonych dosłownie jako łagodna droga – *ju* (łagodny) oraz *do* (droga). Te dwa znaki japońskie jestem w stanie napisać w nocy o północy, ale... tutaj kończy się moja znajomość pisanego japońskiego.

Twórcą judo był Japończyk Jigoro Kano (1860–1938). Kano założył własną szkołę walki: Kodokan. O tej szkole dowiecie się nieco więcej w dalszej części książki. To sport będący od 1964 roku w programie letnich igrzysk olimpijskich. Polacy kilkakrotnie sięgali po krążki w tej dyscyplinie na tym prestiżowym wydarzeniu sportowym.

Uprozczone zasady judo (to podsumowanie mojego autorstwa; mam nadzieję, że nie pominąłem kluczowych założeń):

1. Kobiety i mężczyźni rywalizują osobno.
2. Zawodnicy są podzieleni na kategorie wagowe i wiekowe.

* Po dłuższej konwersacji i zadaniu kilku pytań pomocniczych dowiedziałem się, że pytanie dotyczyło sumo...

3. W walce rywalizują dwie osoby, na ściśle wyznaczonym obszarze (*tatami**), w określonym czasie, ubrane w specjalny strój – judogę (białą lub niebieską).
4. Walkę obserwują i oceniają sędziowie.
5. Zawodnicy podczas walki zdobywają punkty za:
 - poprawnie wykonany rzut (najlepiej punktowane są rzuty dynamiczne, po których przeciwnik dotyka maty całymi plecami),
 - trzymanie (kontrolę przeciwnika w parterze),
 - duszenie,
 - dźwignię na staw łokciowy.
6. Zawodnicy mogą być ukarani za:
 - pasywność (unikanie walki),
 - wychodzenie poza pole walki,
 - wykonywanie ataków pozorowanych,
 - wykonywanie technik niedozwolonych (czyli np. zastosowanie wspomnianych „ciosów”!).
7. Po zakończeniu regulaminowego czasu walki lub po wykonaniu techniki kończącej sędzia ogłasza zwycięzcę.

Judo to sport, który wymaga niebywalej kondycji, gibkości, sprawności, szybkości reakcji, umiejętności wykorzystania sytuacji, a także świetnego wyszkolenia technicznego.

Mam nadzieję, że koleżanki i koledzy judocy zgodzą się z tą zaproponowaną przeze mnie uproszczoną koncepcją zasad judo. Zresztą powtórzę za moim kolegą i trenerem judo, Grekiem poznanym na turnieju mastersów w Berlinie: „Każdy ma swój pomysł na judo, oczywiście w ramach ogólnie przyjętych zasad sportowych!”.

Naturalnie judo w teorii jest nieco abstrakcyjne – trochę tak jak nauka pływania przy wykorzystaniu podręcznika czy książki instruktażowej. Żeby doświadczyć tej dyscypliny, trzeba pójść na próbny trening. Według mnie to z pewnością sport dla każdego. Absolutnie nieistotny jest wiek i stan

* *Tatami* to mata służąca m.in. do treningów judo. *Tatami* wyłożone są też mieszkania Japończyków.

kondycji fizycznej. Trenerzy dostosują trening do umiejętności adepta. Mam kolegów, którzy rozpoczęli trenowanie judo w wieku około 50 lat i teraz nie wyobrażają sobie życia bez treningów.

Judo jest też nie tylko dla tych, którzy mają predyspozycje do zdobywania medali na mistrzostwach świata czy igrzyskach olimpijskich. Setki milionów ludzi na całym świecie grają w piłkę nożną. Prawdopodobnie 99,9% z nich robi to jako hobby. Chciałbym, żeby z judo było tak samo. Oczywiście profesjonaliści, zawodnicy zdobywający tytuły są ważni. Nie są jednak najważniejsi! To sympatycy, trenujący, fascynaci tworzą dyscyplinę. Bez nich sport umiera albo staje się undergroundowy.

JUDO W MOIM ŻYCIU

Dla mnie judo to hobby. Wspaniała przygoda. Trenując, przeżyłem niezwykle chwile, poznałem ekstra ludzi, odwiedziłem mnóstwo ciekawych miejsc. Na pierwszy trening poszedłem, będąc w trzeciej klasie szkoły podstawowej.

Treningi judo nauczyły mnie dyscypliny i wytrwałości w dążeniu do celu (może dlatego doprowadziłem do końca swoją wyprawę rowerową, a także napisałem tę książkę). Bez wątpienia treningi dały mi pewność siebie i sprawiły, że często odnajdywałem się całkiem przyzwoicie w innych dyscyplinach sportowych. Nie bez kozery mówi się, że treningi judo należą do tych najbardziej ogólnorozwojowych.

Moi rówieśnicy, z którymi rozpoczynałem trenowanie tej dyscypliny, obecnie nierzadko prowadzą z sukcesami własne kluby judo. Moje życie nie jest aż tak związane z judo, ale staram się być blisko tego sportu – startuję w zawodach mastersów, trenuję regularnie, na ile pozwala mi na to praca i odnoszone kontuzje. Miałem także krótki epizod jako sędzia judo. Być może w przyszłości chciałbym sprawdzić się także jako trener. Po wielu latach treningu dorobiłem się upragnionego czarnego pasa.

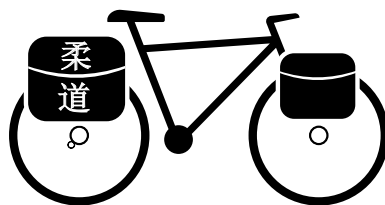
W swoim dorobku nie mam spektakularnych i godnych uwagi sukcesów sportowych. Powtórzę jednak słowa jednego z moich ulubionych judoków Iliasa Iliadisa, który zdobył wszystkie możliwe trofea w judo. Podczas

seminarium szkoleniowego Ilias przypomniał adeptom o tym, że sukcesy w dyscyplinie odnoszą zazwyczaj nieliczni, a trenują setki tysięcy osób. Niezależnie od tego, czy zostaniesz mistrzem olimpijskim, czy nie, trening judo sprawi, że staniesz się lepszym człowiekiem. Pod tym stwierdzeniem podpisuję się obiema rękami.

PODSUMOWANIE PRZYGOTOWAŃ

Mogę oszacować, że organizacja całej inicjatywy zabierała mi od dwóch do czterech godzin dzień w dzień przez kilka miesięcy przed rozpoczęciem podróży. Oczywiście wszystko wykonywałem poza godzinami pracy i treningami. Czasem musiałem zarywać noce, aby ogarnąć wszystkie kwestie, które aktualnie miałem na tapecie, podjąć decyzje, odpowiedzieć na korespondencję. Pobudki o piątej rano były na porządku dziennym. Nie sprawiało mi to jednak większych trudności. Wiedziałem, że od jakości mojej pracy zależy powodzenie mojego wymarzonego wyjazdu na wielu płaszczyznach: osobistej, projektowej, sportowej, marketingowej. W swojej pracy biurowej polegającej na kierowaniu projektami wykonuję często podobne zadania. Planowanie i organizowanie wyprawy dawało mi jednak znacznie więcej satysfakcji. Byłem w pełni niezależny i realizowałem wyłącznie swoje marzenia. W stu procentach odpowiadałem za potencjalne sukcesy, ale też za porażki.





DO BIEGU... GOTOWI? START!

KILKA CHWIL DO „GODZINY 0”. MONTAŻ SKRZYNI PANCERNEJ

Przedostatni tydzień sierpnia był dla mnie bardzo gorący. Nie pamiętam, jaka panowała wtedy temperatura, ale miałem naprawdę dużo zadań w pracy. Dodatkowo to był ostatni tydzień przed moim wyjazdem do Japonii.

Spałem bardzo niewiele. Codziennie miałem jakieś zadanie do wykonania: wymianę waluty, kupno ubezpieczenia, pranie, ostatnie zakupy przed wyjazdem, kwestie związane z organizacją pierwszych dni wyprawy. Największym wyzwaniem było jednak spakowanie roweru do transportu lotniczego – nigdy wcześniej tego nie robiłem.

Najprostszym rozwiązaniem byłoby wynajęcie lub kupienie (co wiąże się ze sporymi kosztami) walizki transportowej na rower. To niby rozsądne, ale niekoniecznie w przypadku takiego typu wyjazdu jak mój, gdy kończę podróż kilka tysięcy kilometrów od miejsca, z którego startowałem. Musiałbym wysłać walizkę z Sapporo do Seulu pocztą i następnie zorganizować przechowanie jej przez kolejne sześć tygodni. Zdecydowałem, że trzeba wymyślić coś bardziej prowizorycznego. Coś, czego będzie można się pozbyć w Sapporo – w punkcie startu wyprawy.

Z poprzednich wizyt w Japonii wiedziałem, że Japończycy podchodzą bardzo restrykcyjnie do kwestii śmieci. W polskich miastach śmietniki są na każdym kroku. W Japonii trzeba przejść pół miasta z butelką po napoju, żeby znaleźć śmietnik, a najlepiej zabrać ją ze sobą do domu. Każdy musi sam dbać o swoje śmieci. Śmieci to koszt. Żywiłem pewne obawy, jak pozbędę się opakowania na rower (mającego całkiem spore rozmiary), skoro często miałem kłopoty ze zwykłą butelką po napoju.

Skonsultowałem kwestię pakowania roweru z tatą. Tata – inżynier i „złota rączka” – stwierdził, że skonstruuje mi walizkę z lekkiej płyty pilśniowej.

Oczywiście byłem zachwycony, że jeden z obowiązków spada z moich barków. Wykonaliśmy pomiary roweru (musieliśmy się zmieścić w konkretnych wymiarach narzuconych przez linie lotnicze: $145 \times 90 \times 40$ cm). Tata dwa dni konstruował „pancerną” skrzynię. Nadszedł dzień próby. Postanowiliśmy, że wykonamy tę próbę z pewnym marginesem czasowym, tak na wszelki wypadek. Zabraliśmy się więc za pakowanie roweru dwa dni przed wyjazdem. Jak się wkrótce przekonaliśmy, to była dobra decyzja.

Opakowanie było świetne: wytrzymałe, solidne. Rower się zmieścił. Uzupełniliśmy całość gazetami i folią bąbelkową, po czym zadowoleni z siebie, z uśmiechami na twarzach spięliśmy skrzynię zszywkami. Cały proces zajął nam prawie dwie godziny. Upociliśmy się, ale byliśmy szczęśliwi, że udało nam się zakończyć tę skomplikowaną procedurę – rower był zabezpieczony na czas podróży. Zrobiliśmy (a w zasadzie to tata zrobił) kawał dobrej roboty. Kiedy opakowanie było już zbite, oklejone folią i stretchem, tata zadał jedno pytanie:

– Chyba na lotnisku nie będą chcieli zajrzeć do środka skrzyni?

Obaj puściliśmy to pytanie mimo uszu. To byłby lekki „przypał”. Nie mam pojęcia, w jaki sposób miałbym sam bez sprzętu otworzyć, a potem złożyć coś takiego na lotnisku. Wróciliśmy do przygotowywania skrzyni do transportu. Tata stwierdził, że przypnie do niej szelki, żeby łatwiej mi było przenosić rower na lotnisku w Warszawie i Sapporo. Po założeniu szelek zdecydowaliśmy, że przewieziemy skrzynię do mojego mieszkania, z którego miałem ruszać z bagażami na warszawskie lotnisko. Tata podjechał samochodem pod klatkę, a ja miałem przenieść rower. I tu pojawił się kolejny problem. Myślę, że nie należę do najsłabszych fizycznie, ale podniesienie skrzyni stanowiło dla mnie nie lada wyzwanie. Gdybym nie wiedział, co jest w środku, dałbym sobie rękę uciąć, że jest po brzegi wypełniona kamieniami. Zważyliśmy pakunek. To, co pokazała waga, kilkukrotnie przerosło nasze przypuszczenia. Sam rower ważył około 15 kg, a skrzynia z rowerem ponad 30 kg!

Szybko skontaktowałem się z przewoźnikiem i okazało się, że waga takiego bagażu może wynosić maksymalnie 25 kg. Za nadwagę bagażu musiałbym zapłacić 200 euro. O tej kwocie dowiedziałem się w piątek 25 sierpnia – na dzień (konkretnie 15 godzin) przed odlotem, kiedy byłem

w biurze ostatni dzień przed urlopem. Z pomocą przyszedł mi mój przyjaciel. Dzień wcześniej oferował mi pudełko kartonowe, które zostało mu po zakupie roweru. Dostarczył mi je po pracy w piątek. Wspólnie z tątą przepakowaliśmy rower do kartonu i dodatkowo zabezpieczyliśmy newralgiczne elementy roweru, takie jak przerzutka czy hamulce. Tym sposobem udało nam się odchudzić bagaż o 10 kg. O 22 rower był spakowany.

Na lotnisku musiałem być o 4 nad ranem następnego dnia. Do 1 w nocy pakowałem pozostałe rzeczy, które wcześniej rozłożyłem na stołach, tak aby o niczym nie zapomnieć. Zrobiłem listę i po kolei wkładałem do bagażu poszczególne przedmioty, wykreślając je z listy. Po około dwóch godzinach snu ruszyłem na lotnisko, żeby odbyć trwający ponad 23 godziny przelot do Sapporo (cała podróż od drzwi mojego mieszkania do pierwszego punktu docelowego w Japonii zajęła ponad 27 godzin).

Przed wyjściem z mieszkania wykonałem 20 razy *double check* swojego bagażu – czyli łącznie sprawdziłem wszystko 40 razy. Wyjeżdżając, zazwyczaj zwracam szczególną uwagę na trzy rzeczy: paszport, portfel (pieniądze), telefon. Mając te trzy artykuły pierwszej potrzeby, jestem w stanie przetrwać w każdych warunkach. Na krótszych wyjazdach w razie pominięcia jakiegoś ważnego elementu bagażu jestem w stanie dokupić brakujące rzeczy. Ten wyjazd nieco bardziej mnie ograniczał. Brałem ze sobą raczej sprawdzony w boju sprzęt, który mi pasował i który bez problemu potrafiłem obsługiwać. Zakup nowych rzeczy w Japonii lub Korei wywołałby u mnie, poza wyrwą w budżecie, spory dyskomfort. Na szczęście zabrałem wszystko, co zaplanowałem.

Na lotnisko odwiozła mnie moja dziewczyna Judyta. Wszystko przebiegało sprawnie i zgodnie z planem. Do czasu nadania bagażu! „No i pojawiły się schody” – pomyślałem. Obsługa lotniska Chopina poinformowała mnie, że mogę nadać bagaż sportowy (mój rower) wyłącznie do Osaki (czyli do drugiego lotniska przesiadkowego)! Po dwóch godzinach snu byłem chyba lekko nieuprzejmy w stosunku do osoby, która mi to oznajmiła. Wyklócanie się nic by jednak nie dało. Zostałem wprowadzony w błąd przez pośrednika, który sprzedawał mi bilety lotnicze. Konkludując, z Warszawy ruszałem z ciężkim sercem – wiedziałem, że na lotnisku w Osace będę musiał opuścić strefę transferową, odebrać bagaż i nadać go do Sapporo.

Na te wszystkie czynności miałem dwie godziny. Niby czasu było dość, ale nigdy nic nie wiadomo. Opuściłem Warszawę z lekkim poczuciem niepewności, czy aby mój postój w Osace nie zostanie niespodziewanie wydłużony. Byłbym bardzo niepokieszony takim obrotem sprawy, zwłaszcza że pierwsze dni wyprawy miałem zaplanowane w najmniejszym szczególe. Problemy na lotnisku w Osace mogły doprowadzić do fiaska tych planów.

DOBA LOTU I DWIE PRZESIADKI

Sam lot na trasie Warszawa–Paryż, Paryż–Osaka nie odznaczał się niczym specjalnym. No, może poza jednym przypadkowym, miłym akcentem, który zwiastował, że cały mój wyjazd będzie pod znakiem judo. Na pokładzie samolotu w czasopiśmie linii Air France, pełnym reklam perfum i alkoholu, mogłem przeczytać wywiad z Teddym Rinerem – supergwiazdą, multi-medalistą olimpijskim i wielokrotnym mistrzem świata w judo. Wywiad dotyczył jego przygotowań do zbliżających się igrzysk w Tokio w 2020 roku.

Na lotnisko KIX (międzynarodowy port lotniczy Kansai w Osace, zbudowany na sztucznie usypanej wyspie) dotarłem 15 minut przed określonym w planie czasem. Na tym lotnisku lądowałem już kilka razy wcześniej podczas moich poprzednich podróży do Japonii. Dosyć sprawnie przeszedłem odprawę celną, standardowo musiałem zostawić swoje odciski palców, wysoce wyspecjalizowana maszyna zbadała, czy moje ciało nie ma temperatury, która wskazywałaby, że przylatuję na wyspę chory, a celnik zrobił zdjęcie mojej twarzy przy przekraczaniu granicy. W moim paszporcie pojawiła się naklejka 90-dniowej wizy turystycznej.

Czym prędzej pobiegłem, żeby odebrać swój bagaż rejestrowany (trzy ofoliowane sakwy) i rower. Zapakowałem wszystko na wózek i udałem się do hali odlotów, żeby nadać bagaż na lot do Sapporo. Spodziewałem się kłopotów i faktycznie już gdy zacząłem podjeżdżać do stanowiska ze swoim gigantycznym pakunkiem rowerowym, widziałem zakłopotanie personelu obsługującego punkt ANA (All Nippon Airline). W takich sytuacjach możliwych jest kilka zagrywek. Wybrałem opcję: „pal Jana” i udawaj, że wszystko jest OK i że wcale nie masz dużego bagażu (ani

dwóch sztuk bagażu). Przekazałem pani z obsługi paszport i kartę pokładową. Pani wezwała na pomoc koleżankę, a potem (chyba) przełożonego, po czym oznajmiła:

– *You can't take this.* – I wskazała na paczkę z rowerem.

W mojej głowie zaświeciła się czerwona lampka. OK – czas na szybką zmianę taktyki. Z „pal Jana” przechodzimy do opcji numer dwa, czyli „zagadaj ich po angielsku”. Grzecznie wytłumaczyłem, że ta paczka musi jechać ze mną, a ja w razie potrzeby dopłacę za niestandardowy bagaż. W tak zwanym międzyczasie obsługująca mnie grupa rozrosła się z trzech osób do sześciu. Zrobiło się spore zamieszanie. Personel chyba chciał możliwie szybko pozbyć się problemu z przybyszem z Polski. Ostatecznie pani z obsługi oznajmiła:

– *OK! It's OK!*

Okazało się, że nawet nie musiałem płacić dodatkowo za bagaż! Tego akurat się nie spodziewałem. Zauważyłem, że karton zabezpieczający rower przedarł się w miejscu, gdzie były zlokalizowane pedały. Obsługa stanowiska ANA okazała się na tyle uprzejma, że przygotowała specjalny materiał izolująco-zabezpieczający i z własnej inicjatywy okleiła wskazane miejsce. Rower musiałem zawieźć do stanowiska z bagażem ponadwymiarowym. Drobną Japonką z obsługi powiedziała, że robi to sama. Przyprowadziła wózek, ale ja, jak przystało na dżentelmena z Polski, oczywiście sam się tym zająłem, choć pani przez cały czas mi asystowała i podprowadziła mnie do miejsca, gdzie zdeponowałem paczkę. Wtedy poczułem, że jestem w Japonii! Z taką życzliwością i pomocą spotykałem się wielokrotnie podczas wyprawy. Chciałbym doczekać czasów, kiedy u nas w kraju będziemy chociaż w połowie tak życzliwi dla siebie.

Po nadaniu roweru kamień spadł mi z serca. Poczułem, że jestem już blisko osiągnięcia linii startu. Kupiłem pierwszą butelkę zimnej zielonej herbaty, którą ostudziłem emocje, i udałem się do swojej bramki. Lot do Sapporo przebiegł bez zakłóceń.

Po prawie 27 godzinach podróży (od opuszczenia mieszkania w Warszawie) wylądowałem na lotnisku w Sapporo. Cały i zdrowy, z pełnym i nieszkodzonym bagażem. Od razu narzuciłem sobie megatempo. „Odpocznę po powrocie” – mówiłem sobie. Przed wyjazdem zastanawiałem się, czy będę zmuszony składać rower na lotnisku, żeby dojechać do centrum Sapporo (to kilkadziesiąt kilometrów), ale miałem ten komfort, że zostałem odebrany z lotniska przez jednego z trenerów judo – Toshiakiego Sasayę*, który zaprosił mnie na trening do *dojo* (sali treningowej) Uniwersytetu Hokkaido. Na lotnisku odebrałem na poczcie jeszcze jeden bardzo ważny pakunek – wspomniany już wcześniej router wi-fi. Od tego momentu byłem stale on-line w Japonii.

Toshiaki zabrał mnie swoim dużym jak na japońskie standardy samochodem (vanem). Pojechaliśmy najpierw do hostelu, gdzie zostawiłem rower i bagaż, wziąłem prysznic i przepakowałem torbę, biorąc ze sobą judogę oraz rzeczy na zmianę. Trener czekał w samochodzie przed hotelem. Szybko zbiegłem na dół i pojechaliśmy wspólnie w okolice jego domu, gdzie razem wsiedliśmy w tramwaj (atrakcję turystyczną) i pojechaliśmy na trening. W Japonii metro nie jest rzadkością. Tokio, Osaka, Nagoja, Sapporo, Sendai, Kioto, Fukuoka, Jokohama, Kobe – to miasta, które mają własne sieci metra. Tramwaj jest rzeczywiście czymś nietypowym.

Zrobiłem pełen trening judo, ale walczyłem co drugą walkę. Przyznam, że po pierwszej walce miałem już mroczki przed oczami – to chyba nic dziwnego, biorąc pod uwagę fakt, że byłem po całym tygodniu pracy, nieprzespanej nocy, długiej podróży i całkiem sporej dawce emocji. W *dojo* Uniwersytetu Hokkaido zauważyłem pewne ciekawe elementy wystroju, których dotychczas nie widziałem na salach treningowych: religijny, czego naturalnie nie ma w polskich salach treningowych – ołtarzyk buddyjski, oraz bardziej dekoracyjno-pamiątkowy – umieszczone na ścianie drewniane tabliczki z nazwiskami najbardziej utytułowanych zawodników Hokkaido Judo Club z każdego roku jego istnienia. Drugi

* Więcej o Toshiakim Sasayi można przeczytać w ostatniej części książki: *Ankiety*.

element wystroju zajmował całkiem spory fragment ściany – ten klub judo miał ponad 100 lat! Powstał w 1908 roku. To prestiżowy klub – uczestniczy w tzw. *Nanateisen*. Taką nazwę nosi rywalizacja pomiędzy największymi i najsilniejszymi japońskimi uniwersytetami. W obszarze judo rywalizują uniwersytety: Hokkaido, Tohoku, Tokio, Nagoja, Osaka, Kioto i Kiusiu.

Po zakończeniu treningu z sakwy, w której umieściłem judogę, wyciągnąłem także maskotkę – niedźwiedzia „Kazka” w judodze. Wyraz twarzy moich kolegów na macie wskazywał, że nie zrozumieli, że to maskotka mojego klubu Judo Legia Warszawa, należącego do Krzyska Wiłkomirskiego*. Patrzyli na mnie z politowaniem. Dopiero, gdy im pokazałem logotyp swojego klubu sportowego i zdjęcia z wydarzeń sportowych z jego udziałem, zorientowali się, o co chodzi. Miś Kazek był współtowarzyszem całego przedsięwzięcia. Kilkukrotnie realizowałem z nim sesję fotograficzną, która następnie była prezentowana na stronie mojego klubu jako dokumentacja postępów mojej wyprawy.

Po zakończonej sesji fotograficznej doświadczyłem bardzo miłego gestu. Cała grupa treningowa zaprosiła mnie na przyjęcie powitalne. To był bardzo miły czas. Studenci na rozpoczęcie kolacji odśpiewali hymn uniwersytetu. Podczas kolacji rozmawialiśmy o mojej podróży. Byłem także egzaminowany z wiedzy o Japonii. W ramach prezentu otrzymałem od studentów zestaw komiksów. Nie były to jednak zwykłe komiksy, ale komiksy o ich klubie judo, których bohaterami są prawdziwe osoby. Głównym bohaterem komiksu jest jego twórca Toshinari Masuda. Historia zawarta w książkach bazuje na jego osobistych doświadczeniach w Hokkaido Judo Club. Fabuła opisuje przygotowania i ciężkie treningi autora oraz innych zawodników przygotowujących się do corocznej prestiżowej rywalizacji w judo pomiędzy najsilniejszymi uniwersytetami w Japonii. Tytuł publikowany jest raz do roku.

Bardzo mi się spodobał ten prezent, ale uśmiechnąłem się w duchu. Przed wyjazdem starałem się tak dobierać bagaż, żeby był jak najlżejszy –

* Więcej o Krzysztofie Wiłkomirskim można przeczytać w ostatniej części książki: *Ankiety*.

rezygnowałem z wielu części garderoby, a już pierwszego dnia (jeszcze przed początkiem jazdy na rowerze) mój bagaż stał się cięższy o około 1,5 kg komiksów.

Na koniec tego bardzo miłego przywitania poprosiłem uczestników spotkania o złożenie podpisów na fładze Polski – podczas całej podróży prosiłem spotkanych judoków o zostawienie pamiątki po sobie na przywiezionej przeze mnie fładze. To zawsze był też dobry moment na przekazanie chociaż w pigułce informacji o Polsce. Z tej możliwości skrupulatnie korzystałem przy każdej okazji. Pod koniec kolacji moje oczy same się zamykały. Studenci zaprosili mnie na kontynuację spotkania w innym lokalu, ale musiałem odmówić – byłem absolutnie nieprzytomny. Myślę, że niewiele brakowało, a usnąłbym na stojąco. Toshiaki odprowadził mnie bezpiecznie do hostelu i miałem czas na pierwszą regenerację po tym niezwykle długim dniu, który w zasadzie trwał dwie doby.

PIERWSZY DZIEŃ NA ROWERZE. MAYDAY! MAYDAY! GPS NIE DZIAŁA

Kolejnego dnia obudziłem się około 6 rano – *jet lag* dał o sobie znać. To mało przyjemne uczucie, gdy budzisz się zmęczony, ale wiesz, że już nie zaśniesz. Do śniadania w hostelu miałem jeszcze dwie godziny, więc chciałem wykorzystać czas możliwie efektywnie. Poszedłem na dwugodzinny spacer po Sapporo, żeby odwiedzić miejsca, w których byłem rok wcześniej podczas mojej trzeciej wizyty w Japonii.

Po porannym rozruchu i śniadaniu przepakowałem sakwy i wymeldowałem się z hostelu. Do wyruszenia w trasę pozostał jeden kluczowy element – montaż roweru po podróży lotniczej. Założyłem gumowe rękawiczki i zabrałem się do tego niczym chirurg do operacji. Poszło całkiem sprawnie, nic nie było uszkodzone. Po 15 minutach „zabiegu” byłem gotowy do startu. Karton i inne śmieci – pozostałości po zabezpieczeniu roweru – udało mi się zostawić w recepcji hostelu.

Na początku stwierdziłem, że pojadę pod wieżę telewizyjną w Sapporo oraz na targ rybny – do tych dwóch punktów trafiłem bez trudu, nie korzystając z map. Okolice wieży telewizyjnej w największym mieście na

wyspie Hokkaido uznałem za linię startu – oficjalne miejsce rozpoczęcia wyprawy. Pod samą wieżą spotkałem Amerykanina, który również jeździł po Hokkaido na rowerze z sakwami. Widząc mnie w pełnym rynsztunku, postanowił mnie zagadnąć. Dowiedziałem się, iż był w trasie już ponad dwa tygodnie. Zdradził mi, że dziennie przejeżdża około 60–70 km. Szybko i pochoinnie oceniając, pomyślałem: „No jasne, pewnie jest słaby i jeździ sobie rekreacyjnie”. Gdy mu powiedziałem, że dziś (a była mniej więcej 10 rano) chcę dotrzeć do miejscowości Toyako, oddalonej o nieco ponad 130 km, uśmiechnął się i powiedział, żebym szykował się na rajdy nocą. Trochę dało mi to do myślenia, ale cóż – wystartowałem.

Z mojej ostatniej wizyty w Sapporo z ubiegłego roku pamiętałem, która droga prowadzi w wyznaczonym przeze mnie kierunku (na południe), więc póki co nie zdecydowałem się na korzystanie z GPS-a. Gdy dojechałem do granic Sapporo, wyciągnąłem jeden ze swoich najcenniejszych sprzętów, który miał mi wskazywać drogę podczas wyprawy. Uruchomiłem mój rowerowy GPS. Dziwne, ale przez kilka minut nie był w stanie wyszukać wskazanej drogi. Czynność powtórzyłem kilkukrotnie, restartując urządzenie (tak poradziłby przecież każdy informatyk z korporacyjnego help desku!). To zabrało mi chwilę. Jeszcze spokojny wyciągnąłem swój backup – w komórce również miałem wgrane mapy Japonii i Korei. Ten sam błąd – mapy nie działały. Nie miałem wyjścia, musiałem złapać się ostatniej deski ratunku – trio: telefon, mapy Google i Internet. Postanowiłem, że będę jechał, korzystając z tego najprostszego rozwiązania, przynajmniej tymczasowo (do czasu, aż wyjaśnię, dlaczego dwie pierwsze opcje nie działają). Jak wiadomo, tymczasowe opcje często są tymi najbardziej trwałymi – ostatecznie w ten sposób przejechałem całą Japonię.

Może wyrażę się nieco nieskromnie, ale mam dobrą orientację w terenie, wyczucie stron świata i łatwo odnajduję się na mapach. Rok przed rozpoczęciem wyprawy rowerowej byłem w Sapporo i wspólnie ze znajomymi zrobiliśmy jednodniowy wypad na kajaki nad wspaniałe jezioro Shikotsu. Jezioro leżało w połowie drogi, którą chciałem pokonać tego dnia. Wiedziałem zatem, którędy jechać, i rozpoznawałem otoczenie. Z wcześniejszej wyprawy kojarzyłem też restaurację, w której zaplanowałem pierwszy ciepły posiłek na trasie.

Dojazd do restauracji zabrał mi dużo więcej czasu, niż się spodziewałem. Na trasie odnotowałem mnóstwo podjazdów. Ten aspekt drogi nie został mi w pamięci z ubiegłorocznej wyprawy. Tłumaczyłem sobie, że na pewno druga część trasy tego dnia będzie lepsza. W trakcie przerwy obiadowej we wspomnianej restauracji zagadnął mnie Japończyk z rodziną i zaczął wypytywać o szczegóły mojej wycieczki. Zapytał też, jaki jest cel mojej dzisiejszej wyprawy. Powiedziałem, że to słynna pośród turystów i malowniczo położona miejscowość Toyako. Zrobił wielkie oczy. Było chwilę po 14. Powiedział, że to nawet nie jest ambitny plan – to po prostu niemożliwe, żebym dotarł do celu przed zmrokiem. Trochę się zestresowałem. To już druga osoba spotkana na trasie, która ostrzegała mnie przed dystansem, jaki miałem do pokonania. Bez zbędnej zwłoki i wypoczynku pożegnałem się z poznaną rodziną i ruszyłem z kopyta dalej.

Na tym fragmencie trasy towarzyszyły mi wspaniałe krajobrazy. Przejeżdżałem przez środek Parku Narodowego Shikotsu-Toya. Jadąc kilkanaście kilometrów brzegiem (a więc po względnie płaskim terenie) jeziora Shikotsu, odzyskałem nadzieję, że uda mi się osiągnąć cel tego samego dnia. Niestety szczęście nie trwało zbyt długo – znowu zaczęły się solidne wzniesienia. Nie spotykałem już żadnych rowerzystów – o ile w pierwszej części dnia widziałem kolarzy, którzy organizowali sobie jednodniowe wypadu z Sapporo, o tyle na tej drodze nie minąłem już nikogo. Jeździło także dużo mniej samochodów. Mogłem swobodnie kontemplować piękną przyrodę i podjazdy (a potem zjazdy – te dawały mi dużo więcej radości). Widziałem całe mnóstwo saren, jeleni i zajęcy, przebiegających przez drogę lub biegających wzdłuż mojej trasy. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej ilości dzikiej zwierzyny.

Mocno zapadł mi w pamięć jeden moment. To było już sporo po przejechaniu 80 km. Byłem zmęczony, a przede mną rysował się kolejny solidny podjazd. Moje mięśnie jeszcze nie były przygotowane do takiego wysiłku. Pot lał się ze mnie strumieniami. Wzrok skierowałem na jezdnię. Co jakiś czas podnosiłem głowę i sprawdzałem, ile jeszcze czeka mnie podjazdów. Za którymś razem poczułem, że ktoś mnie obserwuje. To było dosyć dziwne uczucie, bo nie słyszałem samochodów ani rozmów, ani też odgłosów jadących rowerzystów. W oddali zobaczyłem parę wpatrzonych we mnie

oczu. Może to moje niewyspanie? Może to zmęczenie? Może zjadłem coś dziwnego w tej restauracji? Na poboczu (przy prawym pasie – ja jechałem lewym) siedział – powtórzę: s i e d z i a ł – wielki jelen z dużym porożem i wpatrywał się w moje zmagania. Wiem, że teraz fantazuję, ale trochę przypominał mi jelenia z filmu *Księżniczka Mononoke* studia Ghibli*. Zdębiałem. Boję się zwierząt – nie wiedziałem, co robić. „Może mnie zaatakuję, lepiej przejadę bez zbędnych ruchów” – myślałem. Gdy już go minąłem, doszedłem do wniosku, że nikt nie uwierzy, że zobaczyłem coś takiego. Postanowiłem wrócić i zrobić mu zdjęcie. Zacząłem zjeżdżać w dół – przy takim poziomie zmęczenia to już była odważna decyzja. Niestety to spłoszyło jelenia. Podniósł się i zaczął leniwie odchodzić. Udało mi się jedynie uchwycić moment, kiedy niespiesznie się ode mnie oddalał.

O 18 ktoś jakby za pstryknięciem palców wyłączył światło słoneczne. To był niesamowicie szybki zachód słońca. W całej Japonii (a na pewno w jej północnej części) nastały egipskie ciemności. Serio. Japonia powszechnie kojarzona jest z wielkimi miastami i ich centrami, od których biją łuny światła, reklam itd. I to jest prawdziwy obraz. Ale jest jeszcze inny. Ulice przedmieść oraz lokalne drogi są praktycznie nieoświetlone. Dla mnie jazda w takich warunkach była na tyle traumautyczna, że od tego momentu starałem się nie jechać po zmroku. Pokonałem wtedy po zmroku około 40 km. Były jednak także ciekawe aspekty takiej jazdy. Mijałem przykładowo domy z małymi onsenami** – w powietrzu czuć było zapach siarki, a znad niektórych dachów unosiła się biała para wodna, dobrze widoczna po zmroku.

Tego dnia dotarłem do hostelu w okolicach godziny 21. Byłem zmęczony, ale też miałem już na koncie kilka cennych doświadczeń na kolejne dni. Od jednego z moich współlokatorów w pokoju hostelowym, przybyłego z Hong Kongu, dowiedziałem się, że tej nocy nad jeziorem Toya (nad którym nocowałem) odbywa się pokaz fajerwerków. Nie pierwszy raz okazało

* To jeden z najbardziej znanych japońskich filmów produkcji studia Ghibli – japońskiego studia animacyjnego, które zasłynęło produkcją filmu anime *Mój sąsiad Totoro*, a także zdobywcy Oscara – filmu *Spirited Away*.

** Onseny – gorące źródła w Japonii, na których budowane są łaźnie i baseny. Często krocą mają właściwości lecznicze.

się, że jestem sporym farciarzem – wziąłem szybki prysznic i poleciałem oglądać pokaz słynnych japońskich sztucznych ogni. Część sztucznych ogni puszczana była z łodzi, która pływała pośrodku jeziora. To faktycznie robiło wrażenie, kiedy fajerwerki odbijały się w tafli wody. Po pokazie moim absolutnie jedynym celem stało się łóżko w hostelu.

W tym dniu przejechałem 130 km i nocowałem w miejscowości Toyako.

KIM DZONG UN NIE DAJE SPAĆ

Drugiego dnia wyprawy chwilę po 6 rano obudziły mnie syreny i głośne komunikaty po japońsku puszczane z głośników (w Japonii głośniki na ulicach są czymś powszechnym). Nie znając japońskiego, mogłem się tylko domyślać ich treści. Byłem prawie pewien, że to ostrzeżenie przed zbliżającym się trzęsieniem ziemi. Tsunami się nie bałem, bo znajdowałem się zbyt daleko od oceanu. Otworzyłem drzwi i okna mojego pokoju. Tak nakazują instrukcje dotyczące postępowania podczas trzęsienia ziemi. To ma uchronić przed ewentualnym obsunięciem się okien, wysunięciem się drzwi z futryn czy ram i uwięzieniem w pomieszczeniu. Po tych czynnościach położyłem się dalej spać. Gdy po kilkudziesięciu minutach się zbudziłem, zobaczyłem, że mój hostel jest nadal w jednym kawałku, a woda nie zalała pomieszczenia. Zacząłem więc szperać w Internecie w poszukiwaniu informacji o sile trzęsienia ziemi, jakie nawiedziło Hokkaido. Wszystkie serwisy pełne były jednak innych doniesień. A właściwie jednego – Korea Północna wystrzeliła pocisk balistyczny, który przeleciał nad wyspą Hokkaido (czyli centralnie nad moją głową!), a następnie spadł do morza. Poranny komunikat miał ostrzec Japończyków o kolejnym pokazie siły Korei. Stwierdziłem, że w takim razie chyba byłoby sensownie jak najszybciej uciekać z zasięgu pocisków Korei Północnej.

W tym dniu widoki na trasie były równie malownicze jak w poprzednim. Miałem wszystkiego po trochu: jezioro, góry, a na koniec pierwszy raz dojechałem do brzegu oceanu i widziałem mnóstwo przetwórnictwa owoców morza. Czytałem wcześniej o tym, że południowa część Hokkaido żyje przede wszystkim z rybołówstwa. Najwięcej przychodu rybakom

przynoszą tutaj przegrzebki i gigantyczne kraby. Jadąc nad oceanem, od czasu do czasu mijałem przetwórnice ryb. Tym razem, zanim poczułem woń ryb niosącą się z mocnym wiatrem od oceanu, na drodze, po której jechałem, zobaczyłem rozbite duże muszle przegrzebków. Z początku myślałem, że może to wypadek podczas transportu – przykładowo kontener ciężarówki okazał się nieszczelny i część połowu spadła na ulicę. Wzbudziło to moją ciekawość, zwłaszcza że rozbitych muszli było naprawdę całkiem mnóstwo. Po jakimś czasie dojechałem do przetwórnicy specjalizującej się w produkcji mięsa z przegrzebków. Za halą produkcyjną zlokalizowane było wielkie cmentarzysko przegrzebków – cała góra muszli opróżnionych z mięsa. Ponad nią krążyły wielkie chmary mew oraz kruków, wyszukując pozostawione kawałki mięsa. Wtedy zaobserwowałem coś, co pozwoliło mi zrozumieć, dlaczego jezdnia była zasypana szczątkami muszli przegrzebków. Ptaki, które nie mogły się dostać do upragnionego mięsa, łapały muszle w dziób, latały nad ulicą i zrzucały muszle na jezdnię, aby roztrząsały się w drobny mak, co dawało im dostęp do smakowitych kąsków. Sprytnie!

Teren południowego Hokkaido nie odpowiadał mojemu dotychczasowemu wizerunkowi Japonii. Budowle nie miały typowego dla centralnej Japonii charakteru – przypominały raczej naszą część Europy. Panował tu spory bałagan, zwłaszcza w okolicach przetwórnicy ryb. Plaże były pełne śmieci oraz sprzętu przeznaczonego do połowu ryb i owoców morza. Poczuję, że nie jest to miejsce turystyczne. Takie miejsca w Japonii chciałem odwiedzić tak samo mocno jak największe atrakcje turystyczne Kraju Kwitnącej Wiśni.

W tym dniu rozumiałem również, że moja trasa po Japonii będzie obfitowała w przejazdy tunelami. Według informacji, które znalazłem w Internecie, w Japonii jest około 10 000 tuneli. Dla porównania w Polsce tuneli drogowych mamy zaledwie kilkanaście. Przejechanie pierwszych kilku było ciekawym doświadczeniem. Problemy pojawiały się zazwyczaj na ruchliwych lokalnych drogach, gdzie tunel nie miał pobocza i dodatkowo był słabo doświetlony. Po kilku takich sytuacjach, gdy tir minął mnie w tunelu o kilkadziesiąt, a czasem nawet o kilkanaście centymetrów, przed wjazdem do tunelu zacząłem się zatrzymywać – puszczałem samochody ciężarowe i dopiero przy mniejszym ruchu ruszałem z kopyta. To była

chyba największa bolączka drogowa i największy stres. Po przejechaniu takich tuneli czasem musiałem się zatrzymać, aby złapać oddech i trochę ochłonać. Zawsze chciałem je pokonać możliwie szybko – uznajmy, że to był element treningu interwałowego.

Takie przejazdy znacząco podwyższały moje tętno. Brak pobocza w nieoświetlonych tunelach stanowił standard. Nie można było sobie pozwolić nawet na chwilową dekoncentrację. Po pewnym incydencie postanowiłem też, że nie będę zbyt kombinował. Przejeżdżając przez jeden z tuneli, zobaczyłem, że po jego bokach poprowadzono ścieżki – nie można było jednak nazwać ich chodnikami, bo miały może pół metra szerokości. Ledwo co się mieściłem na tym, nazwijmy to, awaryjnym chodniku. Na samym końcu tunelu wykonałem niepewny ruch kierownicą roweru i zacząłem spadać z wysokiego krawężnika na jezdnię. Nie wiem, jak to się stało – w odruchu bezwarunkowym wypiąłem pedały SPD z zamka i szczęśliwie udało mi się nie wywrócić. Utrzymałem równowagę, ale wytoczyłem się na środek ruchliwej ulicy. Miałem wielkie szczęście, że akurat w tym momencie nic nie jechało. Po tym incydencie zatrzymałem się na poboczu i długo zbierałem siły i motywację, żeby ruszyć dalej. Od tego wydarzenia wjeżdżałem w kolejne tunele, które musiałem pokonywać na swojej trasie, z niepokojem i pewną dozą niepewności. Tego dnia pokonałem nieco ponad 90 km i spałem w miejscowości Yakumo.

ANGIELSKI, MIGOWY, A MOŻE KALAMBURY?

Trzeci dzień zacząłem śniadaniem w hotelu w Yakumo – śniadaniem w stylu europejskim. Uwielbiam wszystko, co japońskie: kulturę, architekturę, porządek, krajobrazy, roślinność, dbałość o szczegóły. Długo by wymieniać. Są jednak trzy rzeczy, które w moim przekonaniu Japończykom wychodzą względnie średnio, żeby nie powiedzieć słabo: śniadania, kawa i pomniki. Wszystkie te rzeczy zdecydowanie kwalifikują się do poprawy (albo po prostu uznajmy, że każdy ma jakieś wady). Śniadanie w Yakumo dało mi popalić: oprócz tego, że było zwyczajnie niesmaczne, to zwiastowało następne kłopoty, z którymi musiałem się zmagać podczas wyprawy. Na

tydzień przed wyjazdem założyłem aparat ortodontyczny na dolną szczękę. Okazał się niestety wątpliwej jakości i sprawiał mi sporo problemów podczas podróży. Tego dnia przy spożywaniu tosta (a przyznacie chyba, że tosty z reguły nie należą do specjalnie twardych produktów, co dodatkowo mnie zaniepokoiło) odpadł mi pierwszy zamek aparatu. Póki co nie przeszkadzało mi to w niczym, ale w duchu powiedziałem sobie: „Acha – trzeci dzień i takie niespodzianki... Ciekawe, co będzie dalej...”

Ten dzień zdecydowanie zapadł mi w pamięć pod kątem krajobrazowym. Jechałem na wzniesieniu – widziałem zatokę Uchiura, a w oddali góry. Widoczność była na wiele kilometrów i do tego pięknie świeciło słońce. Kumulacja pięknych widoków miała nastąpić jednak dopiero wieczorem. Po przejechaniu 40 km stwierdziłem, że czas na obiad. Dotarłem do największej miejscowości na trasie tego dnia – miasta Mori. W Tripadvisorze dzień wcześniej znalazłem informację, że w tym mieście jest bardzo polecana restauracja z moim ulubionym tanim japońskim posiłkiem – ramenem* – najpopularniejszą japońską zupą. Ramen to podwójne zwycięstwo: można się nim najeść (zawiera mnóstwo makaronu i mięsa) i napić (jest w nim sporo tłustego rosółu). To przysłowiowe dwie pieczenie przy jednym ogniu. Idealny posiłek dla rowerzysty.

Okazało się, że przybyłem nieco za wcześnie – do otwarcia restauracji Ramen Mori pozostało 20 minut. Wykorzystałem ten czas najlepiej, jak mogłem, i udałem się w kierunku budynku poczty. Zamierzałem wysłać do Polski komiksy o klubie judo z Sapporo, które dostałem pierwszego dnia wyprawy, a które stanowiłyby zbędny balast podczas 3000-kilometrowej podróży rowerowej. Oczywiście stałem się lokalną atrakcją – do obsługi mnie oddelegowano trzy osoby. Przybył także pracownik, który znał dwa sformułowania po angielsku i był z tego bardzo dumny. Pierwsze brzmiało: OK. Było używane jako pytanie, ale też jako potwierdzenie. Drugie sformułowanie nie było nazbyt rozbudowane względem pierwszego

* Ramen to rodzaj makaronu z mąki pszennej, pochodzącego z Chin. Słowo *la mien* to po chińsku „naprężony makaron”. Ramen jest w Japonii dużo bardziej popularny niż tradycyjne japońskie makarony *udon* czy *soba*. Zazwyczaj podawany jest z rosółem i dodatkowymi składnikami: warzywami oraz mięsem.

i brzmiało: *No OK*. Służyło jako pytanie i zaprzeczenie. Oczywiście nie miałem na co narzekać – to ja byłem przybyszem i to ja zgłosiłem się tam w roli petenta nieznającego języka japońskiego. Pan z poczty był bardzo sympatyczny. Próbowaliśmy się porozumieć językiem werbalnym i trochę na migi. Wreszcie doszliśmy do kluczowej kwestii, czyli tego, w jaki sposób chcę wysłać przesyłkę. Z pomocą przyszły kalambury oraz talent plastyczny pana z obsługi. Pan wyjął białą kartkę A4 i zaczął produkcję obrazów. Naszkicował samolot i statek, po czym wskazał na statek i zapytał:

– OK?

Następnie pobiegł szybko do ściany, zdjął z niej gigantyczny kalendarz – taki, że zza niego nie byłem w stanie zobaczyć jego sylwetki – i pokazał na połowę października. Zrozumiałem, że w ten sposób wskazuje mi datę, kiedy przesyłka zostanie dostarczona drogą morską. Wybrałem oczywiście statek – była to opcja dużo tańsza niż samolot, a tym sposobem komiksy dotrą do domu w podobnym czasie co ja.

Po zakończonym sukcesem nadaniu paczki udałem się wreszcie na upragniony ramen. Byłem pierwszym klientem lokalu – właściciele otwierali restaurację w południe. Niemniej kilka minut po 12 lokal był już pełen gości. To kolejna z moich obserwacji – Japończycy bardzo wcześnie jedzą obiad. Tu chyba ma zastosowanie jedno ze starych japońskich przysłów: „Kto dużo i szybko je, szybko i dużo pracuje”. Po zjedzeniu opłaciłem rachunek. W większości restauracji kelner przynosi rachunek wraz z jedzeniem. Po spożyciu posiłku klient udaje się do kasy i płaci za posiłek. Nie ma zatem niezręcznego przyciągania kelnera wzrokiem i oczekiwania, aż będzie miał czas przyjąć płatność. Uwielbiam ten praktycyzm obsługi gastronomicznej w tym kraju.

Wyszedłem przed restaurację i zacząłem przygotowywać się do odjazdu. Wtedy z lokalu wybiegła sympatyczna starsza pani z obsługi i przekazała mi GPS-a, którego zapomniałem – zostawiłem go na stoliku obok. Może to nazbyt sceptyczne, ale w Polsce chyba mógłbym się pożegnać z tym sprzętem, zwłaszcza że takie dobro łatwo upłynnić.

Późnym popołudniem dotarłem do Hakodate – pięknego miasta na południowym końcu wyspy Hokkaido. Wiedziałem, że jest tu sporo rzeczy wartych zobaczenia, więc nie było mowy o wypoczynku. Przy zameldowaniu w hotelu spotkała mnie przyjemna niespodzianka. Pani z recepcji hotelowej była przygotowana na przyjazd Polaka (przy rezerwacji na stronie internetowej musiałem wpisać obywatelstwo) i postanowiła, korzystając z tłumacza Google na swoim tablecie, przywitać mnie po polsku hasłem: „Witam. Proszę, pozwól mi skopiować paszport”. To był bardzo miły akcent. Po zameldowaniu i szybkim prysznicu pojechałem na rowerze (ale już bez sakw) do informacji turystycznej w centrum miasta, gdzie doradzono mi, co mogę zobaczyć i zrobić jako turysta dysponujący zaledwie kilkoma wieczornymi godzinami.

Hakodate znane jest przede wszystkim z tego, że oferuje najświeższe owoce morza, a także piękną panoramę miasta. Zbliżał się wieczór, więc stwierdziłem, że zwiedzanie rozpocznę od panoramy – o zachodzie słońca mogłem spodziewać się spektakularnych widoków. Skorzystałem z kolejki na szczyt góry, z której można było podziwiać cudowny pejzaż. Na górze spędziłem ponad 30 minut, obserwując piękny zachód słońca nad Hakodate. To jak na mój styl zwiedzania stosunkowo dużo – należę do turystów szybko zmieniających obiekt zainteresowania. To był jednak widok, który długo zostanie mi w pamięci. Zdążyłem na ten fragment dnia, gdy słońce miało się już ku zachodowi, ale dawało jeszcze mocne światło. Przez to pół godziny byłem obserwatorem fantastycznego spektaklu – przejścia od kompletnego oświecenia, przez niskie i ostro świecące słońce i moment, gdy niebo stało się niemalże purpurowe, po chwilę, gdy zapadł zmrok, a portowe miasto rozświetliły tysiące świateł. Świeże, morskie powietrze oraz kontemplowanie pięknych widoków zaostrzyły mój apetyt. Przyszedł czas na doświadczenie drugiej atrakcji miasta!

Udałem się w pobliże targu rybnego, gdzie mieściły się wciąż otwarte restauracje z owocami morza. Zjadłem pyszną zupę krabową i mięso kraba z ryżem, a także grillowaną makrelę. Swoją drogą, to chyba najpopularniejsza ryba na polskich stołach – ale u nas zazwyczaj podawana jest

w formie wędzonej. W Japonii często serwuje się ją w wersji grillowanej. Polecam – palce lizać!

Nazajutrz miałem opuścić Hokkaido, więc po posiłku udałem się do portu, aby się dowiedzieć, jak kupić bilet na prom na wyspę Honsiu, do miejscowości Aomori. Zarezerwowałem bilet na wczesne godziny poranne. W drodze powrotnej do hotelu znowu zgłodniałem. Nie miałem ochoty i siły na poszukiwanie restauracji. Z drugiej strony chwilowo „przejadły mi się” produkty z tzw. convenience shopów. To takie nasze Żabki czy Fresh-markety, z tą różnicą, że te japońskie są otwarte 24 godziny na dobę. Jest kilka marek tego typu sklepów w Japonii: 7-Eleven, Lawson, FamilyMart, Ministop i inne. Sklepy są dosyć drogie i wszystkie sprzedają niemalże jednakowe artykuły. Niezależnie od tego, czy to mała wioska na Sikoku, czy centrum Tokio, wszystkie są też zaaranżowane w ten sam sposób. Pod koniec wyprawy mógłbym dotrzeć z zamkniętymi oczami do półki z moją ulubioną zieloną herbatą i *onigiri** z tuńczykiem. Taki zestaw był moim najczęstszym posiłkiem na trasie rowerowej.

Tego wieczoru wyciągnąłem jednak szczęśliwy los. Obok swojego hotelu zauważyłem coś, co wyglądało na supermarket. W Japonii nie ma takich marek supermarketów jak w Europie, więc z zewnątrz byłem w stanie jedynie stwierdzić, że to sklep wielkopowierzchniowy. Nie wiedziałem jednak, co oferuje – cegły i szpachle malarskie czy poszukiwane przeze mnie jedzenie. Trafiłem w dziesiątkę – to była moja pierwsza wizyta w wielkopowierzchniowym markecie w Japonii. Podczas moich poprzednich pobytów w Kraju Kwitnącej Wiśni nie miałem takich możliwości, bo zazwyczaj tego typu sklepy są położone na obrzeżach miast. W trakcie tej wyprawy skrupulatnie korzystałem z faktu, że często znajdowałem się na takich terenach.

Odwiedziłem ów supermarket. Nazywał się Don Quijote (swoją drogą, nie wiem dlaczego, ale logotypem tego sklepu jest wielki pingwin w czapce

* *Onigiri* to kanapka ryżowa uformowana w trójkąty. Nadziewana jest m.in. krewetkami, tuńczykiem, kurczakiem, ikłą, marynowanymi śliwkami czy morelami. Zazwyczaj całość zawinięta jest w płaty *nori* – sprasowane wodorosty, które znamy z produkcji sushi. To najpopularniejsza i najtańsza przekąska w Japonii. Cena takiej kanapki to mniej więcej równowartość 4 zł.

Świętego Mikołaja). Wewnątrz oniemiałem. Najpierw moje zmysły zaatakował hałas stanowiący kombinację głośnej muzyki i odtwarzanych reklamówek różnych produktów. Na to nakładało się intensywne światło jarzeniówek oraz błyskające lampy ledowe umieszczone przy niektórych półkach sklepowych. Dodatkowo zobaczyłem obfity wybór bardzo różnorodnych produktów, w tym przekąski, których dotychczas nie widziałem. Co więcej, wszystkie produkty były tańsze o około 30% w stosunku do cen z convenience shopu. To fantastyczne odkrycie pozwoliło mi w przyszłości na poczynienie oszczędności przy zakupach. Inna rzecz, że odwiedziny i zakupy w tej sieci sklepów w Tokio były znamienne w skutki, ale o tym w dalszej części książki.

Tego dnia przejechałem 85 km. To dzień, w którym sumaryczna odległość na moim liczniku rowerowym przekroczyła 300 km.

DO ABORDAŻU!

W kolejny dzień wstałem przed świtem. Miałem już zarezerwowany bilet na prom, ale dzień wcześniej zostałem poinformowany, że powinienem pojawić się w porcie około półtorej godziny przed wypłynięciem statku. Okazało się, że ten bufor czasowy był nieco na wyrost, więc po zameldowaniu się w punkcie obsługi pasażera udałem się do sklepu po śniadanie. Gdy wróciłem do portu, obsługa skierowała mnie do kolejki dla rowerów i motocykli. Ładowanie promu przebiegło bardzo szybko i sprawnie. Obsługa skrupulatnie zabezpieczyła mój rower z sakwami przed przewróceniem się. Został przywiązany kilkoma linami, a pod koła podstawiono klocki.

Spokojny o rower udałem się na górny pokład promu. Tam spotkała mnie bardzo miła niespodzianka. Prom był jeszcze pusty i znalazłem wielkie pomieszczenie sypialne dla pasażerów. Pomieszczenie wyłożone było wykładziną, na której ułożono materace do spania. Japończycy bardzo dbają o higienę i o to, by pod tym względem zapewnić każdemu komfort. Zobaczyłem, iż przy wejściu do pomieszczenia każdy mógł pobrać papierowy jednorazowy pokrowiec na materac, który poprawiał komfort snu. Tuż po wypłynięciu statku skorzystałem z tego udogodnienia i zasnąłem

snem sprawiedliwego. Gdy się obudziłem, całe pomieszczenie było wypełnione współpasażerami śpiącymi i wypoczywającymi na materacach. Tak się składa, że włączono tam telewizor i to prawdopodobnie jego dźwięk wyrwał mnie ze snu. Popatrzyłem na ekran telewizora – akurat prezentowano relację z Mistrzostw Świata Judo w Budapeszcie – tego dnia Soichi Hashimoto zdobył tytuł mistrza świata w kategorii 73 kg! Bardzo mnie to ucieszyło – wiedziałem, że na początku października tego roku ten zawodnik odwiedzi mój klub judo, aby poprowadzić w nim obóz szkoleniowy.

Dalsza część podróży przebiegła bardzo spokojnie. Od czasu do czasu wychodziłem na pokład, aby przyjrzeć się, z jaką gracją nasz gigantyczny statek przecina fale oceanu, oraz zobaczyć, jak daleko mamy jeszcze do lądu. Po zejściu na brzeg zatrzymałem się na kilka chwil w porcie. Byłem tam umówiony. Może zabrzmiało to trochę absurdalnie, ale kilka dni przed moim wyjazdem do Japonii za pośrednictwem mojego fanpage'a odezwał się do mnie chłopak, który napisał, że zainspirowałem go swoim pomysłem i właśnie rusza do Japonii w podróż rowerową. To był wielki fascynat jazdy na rowerze z dużo bardziej profesjonalnym sprzętem od mojego. Tak się składało, że tego dnia nasze trasy się przecinały i postanowiliśmy się spotkać w Aomori. Tak też się stało. Wymieniliśmy się dotychczasowymi doświadczeniami w jeździe rowerowej po Japonii, ciekawostkami i radami.

Następnie udałem się do centrum Aomori, gdzie miałem zarezerwowany hotel. Niestety (jak w zasadzie podczas całej wyprawy) ponownie miałem niewiele czasu na pobyt w hotelu. Na 14 byłem umówiony na trening w największym liceum sportowym w Aomori. Liceum było gigantyczne! Bardzo dobrze wyposażone w boiska, hale, basen i sale treningowe. Poszukując *dojo*, w którym miałem trenować judo, chwilę przyglądałem się treningowi najpopularniejszego w Japonii sportu drużynowego – baseballa. Nie znam do końca zasad tego sportu, ale stwierdziłem, że to najlepsza okazja, żeby zobaczyć mecz baseballowy na poziomie.

Na swój trening dotarłem trochę spóźniony. Zostałem jak zawsze przedstawiony ćwiczącej grupie i zaczęliśmy rozgrzewkę. Nie spodziewałem się tego, ale połowa treningu była techniczno-rozgrzewkowa. Potem trener zarządził zadaniowe *randori* (walki zmierzające do osiągnięcia konkretnego celu) – np. wyjścia z trzymań w parterze czy walki w *tachi waza*

(w tzw. stojce) z wykorzystaniem wyłącznie podcięć. Drugą część treningu stanowiło zwykłe, regularne *randori* (czyli walki szkoleniowe). Zajęcia bardzo mi się podobały. Po treningu standardowo zebrałem podpisy od uczestników na swojej fladze.

Sympatyczna trenerka Yuko Amanai*, która zorganizowała mi trening w tym liceum, zaprosiła mnie także wieczorem na trening dzieci odbywający się w pobliskim gimnazjum. Wróciłem na chwilę do hotelu, żeby zjeść posiłek i nieco odsapnąć, a potem już po zmroku pojechałem w umówione miejsce. Spóźniłem się około 30 minut (co absolutnie nie jest moim standardem, ale jakoś w Aomori wyjątkowo mi się zdarzało). Okazało się, że przed gimnazjum stał komitet powitalny – dwóch szkrabów judoków, którzy mieli mnie zaprowadzić do miejsca, gdzie mieściło się *dojo*. Zrobiło mi się głupio z powodu spóźnienia. W treningu uczestniczyłem biernie (jako obserwator), podobnie jak rodzice dzieci spokojnie siedzący na karimacie. Trenujące dzieci były w wieku 8–10 lat.

Z dużą satysfakcją mogę powiedzieć, że zdecydowana większość treningu judo w Japonii wygląda tak jak w Polsce. Obserwowałem znane mi ćwiczenia rozgrzewkowe, podobne gry i zabawy, a także zbliżone ćwiczenia mające na celu poprawę wydolności, techniki i równowagi. Jedyną znaczącą różnicą, jaką zaobserwowałem, był fakt, że dużą część treningu stanowiły *randori*. Niewątpliwie w Japonii główny nacisk był położony na ten aspekt treningu. Z ciekawostek, rodzice (zwłaszcza mamy) żywo uczestniczą w treningach i wkraczają na maty, by asekurować walczące dzieci, gdy podczas walk zbyt blisko zbliżają się do siebie. Na początku myślałem, że to reakcja jakiejś nadopiekuńczej mamy, ale po jakimś czasie zorientowałem się, że w ten sposób postępował każdy rodzic, a było ich całkiem sporo.

Po treningu zostałem poproszony o wzięcie udziału w sesji fotograficznej z uczestnikami treningu. Od znajomej trenerki otrzymałem na pamiątkę mały ręcznik z festiwalu, który odbywał się ostatnio w Aomori. Zostałem także zaproszony na kolację, ale zwyczajnie nie miałem już siły. Chyba skumulowało się we mnie zmęczenie z kilku dni. Wróciłem do hotelu i padłem na łóżko.

* Więcej o Yuko Amanai można przeczytać w ostatniej części książki: *Ankiety*.



W czwartej klasie podstawówki byłem posiadaczem 5 kyu.
Zdjęcie z balu przebierańców

Moja walka w 2016 r. w mistrzostwach Japonii mastersów.
Zawody odbywały się w Kodokanie

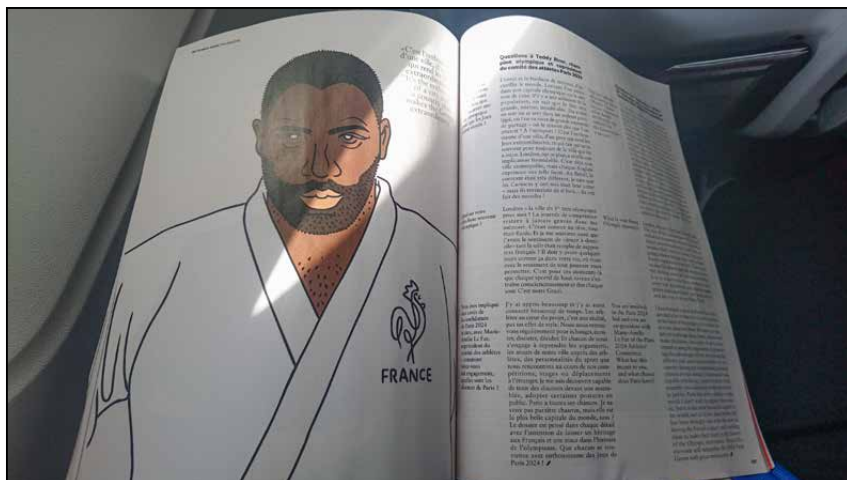




Podczas treningów rowerowych przed wyjazdem moim balastem były butelki wody i judoga

Zwarty i gotowy, z dobrze przygotowanym bagażem wyruszam w trasę





Wywiad z judoką Teddym Rinerem, który znalazłem w czasopiśmie linii Air France podczas lotu do Osaki

Trening na Uniwersytecie Hokkaido. Po mojej prawej stronie Toshiaki Sasaya





Zestaw komiksów judo, które dostałem od judoków z Uniwersytetu Hokkaido



Przed hostelem w Sapporo musiałem złożyć mój rower